Rok XII. # TYGODNIK KATOLICKI. Rok XII.

№ 13. Grodzisk, 1. kwietnia 1871. № 13.

Tygodnik katolicki wychodzi co **Sobotę**. **Prenumerata** ćwierćrocznie wynosi: 1) **na pocztach pruskich** 1 tal. 20 sgr. 2) w **Galicyi** 3 fl. 3) w **Król. Polsk.** 2 ruble. 4) We **Włoszech** 2 tal. 5) We **Francyi** 2 tal. 5 sgr. 6) W **Turcyi** 2 tal. 10 sgr. 7) W **Ameryce** 2 tal. 15 sgr.
Listy z zagranicy adresować należy do **Poznania** (**Posen**, Grand Duché de Posen). — Redakcya przyjmuje tylko **frankowane** listy, reklamacye i korespondencye. Rękopisy nie zwracają się (tylko na uprzednie żądanie) i ulegają zniszczeniu.

Deum qui proposito tuo favit hactenus, rogamus, ut potiora semper et uberiora eidem incrementa largiatur in sui nominis gloriam et gentis tuae utilitatem. (List Ojca św. Piusa IX. do Redaktora Tygodnika katolickiego.)

Antropologia przedhistoryczna i chronologia Mojżesza.

Odpowiedź na rozprawę Dr. Libelta: „Mieszkania nawodne przedhistoryczne.“

Napisał

Stefan Pawlicki.

(Ciąg dalszy.)

III.

Pierwsze odkrycie nawodzisk czyli falbantów. — Krótki opis takowych i hypoteza co do ich przeznaczenia. — Krytyka hypotezy p. Libelta. — Nawodziska zburzone przez własnych helweckich mieszkańców. — Najstarsze z nich nie sięgają po za V. stulecie przed Chr. — Gazeta augsburgska i rada udzielona p. Libeltowi.

Od niejakiegoś czasu wśród dowodów za dawnością rodzaju ludzkiego, występują także mieszkania budowane na wodzie, na palach, falbanty, przez p. Libelta nawodziskami nazwane. Przedhistoryczna archeologia z namiętnością rzuciła się na nie, i jakże inaczéj być mogło, skoro archeolog każdy, wbrew swemu powołaniu, novarum rerum cupidus, i niebawem tyle podobno i tak wielkie odkryła w nich rzeczy, że prawdziwie w nieludzką wbiła się dumę. Na przegniłych palach, w moczarach i trzęsawiskach, mocą wyobraźni swojéj, założyła sobie królestwo czarów, w którém włada po sułtańsku. —

Nie ubiegło spełna lat kilkanaście, a już napisano o przedmiocie tym zastraszającą ilość książek, broszur, a mianowicie artykułów dziennikarskich. Zdawało się nawet przez czas niejakiś, że rozwiązanie najwyższych zagadnień ludzkości zawisło od nawodzisk. Dzisiaj gorączka ta nieco się zmniejszyła. —

W styczniu roku 1854, gdy jezioro zurychskie znacznie opadło, niedaleko od brzegu, w szlamie odkryto zczerniałe, przegnite pale, a wśród nich szczątki ludzkiego przemysłu. Uczony Ferdynand Keller pierwszy je zbadał i podał o nich wiadomośc. Zachęciło to do dalszych poszukiwań, a gdy te w innych także jeziorach szwajcarskich uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem, mania nawodzisk ogarnęła wszystkie kraje, szczególnie Niemcy. Sprowadzono szwajcarskich rybaków i za ich wskazówką przeszukiwano moczary i torfy. Liczba odkrytych urosła bajecznie, bo sama Szwajcarya posiada ich przeszło dwieście, a Niemcy, północne Włochy, nawet Księztwo nasze dostarczyły także kontyngensu. —

Trudno nie pochwalić archeologicznéj gorliwości, nawet trzeba ją popierać. Mężowie głębokiéj nauki, a bez antibiblijnych uprzedzeń, zbadawszy dokładnie te szczątki, wydobyli z nich wiele światła do zrozumienia dawnych stósunków, w jakich pozostawali nasi mało cywilizowani przodkowie. Ale materyaliści nie poprzestali na tych skromnych, acz sumiennych i pożytecznych rezultatach. Im czegoś więcéj potrzeba było. Goniąc ciągle za przodkami Adama, za preadamitami, znaleźli ich nareście w bagnach! Więc szczęśliwi z swego odkrycia, nuż układać szumne panegiryki dla niewinnych nawodzisk, które pewno ani się domyślały, że przyniosą tyle zgorszenia i tyle zawrotu głowy! Plemiona od niepamiętnych wieków pochowane zmartwychwstały na nowo, i to z tak odległéj przeszłości, że w obec niéj najdawniejsze ludzkie podania są jakoby wczorajsze. —

Ta przesada znowu niczego nie uczy, tylko kompromituje najlepszą sprawę. Bo trudno bez wstrętu przyjmować rzeczy, zalecane gorączkowo przez materyalistów. W istocie nawodziska nic nam nie przyniosły nowego, prócz mało w sobie znaczącego faktu, że niektóre ludy w Europie kiedyś po jeziorach stawiały sobie chaty na palach. To i dzisiaj robią dzicy niekiedy, szczególnie w Nowéj Gwinei, lub na wyspach niektórych Oceanii. —

Sposób życia i zwyczaje dawnych nawodnych mieszkańców, o ile poznaliśmy je z pozostałych po nich śladów, także nie zawierają nic takiego, czegoby już nie wiedziano, lub zkądinąd się domyślano. Skoro bowiem znamy jeograficzne położenie kraju, w którym żyje jakieś plemię, skoro znamy zwierzęta i rośliny tego kraju, nareście stan jego przemysłu, n. p., że używano lub nie używano metalowych narzędzi, możemy sobie dosyć jasny obraz ułożyć życia społecznego, jakie w kraju owym istnieje. Brakujące zaś szczegóły uzupełnimy ze życia znanych plemion dzikich, pozostających mniéj więcéj na tym samym stopniu rozwoju. Pod tym względem raczéj powiedzieć trzeba, że nawodziska potwierdziły domysły nasze, a nie nauczyły nas nic absolutnie nowego. —

Mówię o dawniejszych, bo młodsze, pochodzące dopiero z rzymskich czasów, jak świadczą metalowe wyroby i pale lepiéj ociosane, nie należą do przedhistorycznéj archeologii. Dawniejsze zaś, zawierające tylko kamienne narzędzia, odsłaniają nam stan oświaty, który choć bardzo jest nizki, nie wydaje się jednak zbytecznie od nas odległym. Ludzie ówcześni znali już rólnictwo i chów bydła, piekli chléb na gorących kamieniach, jak po dziś dzień dzicy w różnych krajach; robili sobie plecionki z nici i z łyka, przędli len i stroili się w perły bursztynowe, a

narzędzia swoje i broń wyrabiali nie bez artyzmu z bardzo twardych kamieni. Zwierzęta, jak widać z kości pozostałych, należą wszystkie do gatunków dziś jeszcze napotykanych w Szwajcaryi, lub które tam żyły w czasach historycznych; owoce nie różnią się niczém od owoców dzikich, dzisiaj tam rosnących. Nareście kilka czaszek ludzkich, znalezionych w pobliżu wodnych mieszkań, podobne są wedle wyznania samego Vogta (— musiało go ono wiele kosztować!) do czaszek dzisiejszych Szwajcarów. —

Wszystkie te szczegóły składają się razem na obraz helweckiego życia z czasów, które poprzedziły rzymską inwazyą. O ile cenne są w sobie, bo uzupełniły szczupłe wiadomości nasze o stanie tamecznéj społeczności, o tyle znowu niesłusznie chciano na nich oprzeć hypotezę o jakichś dawnych ludach, wiele tysięcy lat przed Helwetami zaludniających owe strony. Na to nie mamy zgoła żadnéj danéj. Sam fakt, że wielka część tych budowli tylko kamienne wyroby zawiera, podczas gdy w innych znajdują się bronzowe lub żelazne, nie dowodzi, że pierwsze o wiele są starsze od drugich, lub do innego ludu należą, do innéj cywilizacyi. —

Różnica taka po prostu tém się tłomaczy, że Szwajcarya przystępniejszą jest od zachodu, aniżeli od wschodu, z czego wynika, że kantony zachodnie używały wyższéj oświaty, większego dobrobytu. Dzisiaj jeszcze kantony wschodnie, w przyrównaniu do Genewy, Lozanny, Bazyleji przedstawiają daleko niższy rozwój społeczny. Nie ma więc wątpliwości żadnéj, że w tym samym narodzie, w różnych okolicach różne były stopnie oświaty, co nas tém mniéj zadziwiać powinno w czasach tak odległych, skoro dzisiaj jeszcze, mimo nadzwyczajnych środków komunikacyjnych, prawie we wszystkich krajach Europy podobne różnice napotykamy. Jeżeli kiedyś potomkowie nasi w nadwiślańskich piaskach, w okolicah Warszawy, wykopią rozbity parowiec, a kilka mil daléj niezgrabną łódź rybacką, czyż nie będą mogli, według metody przedhistorycznéj archeologii, dwa te przedmioty przypisać dwom różnym, odległym od siebie oświatom? A jednak pływały równocześnie po bystrych falach Wisły. —

Za dawnością mieszkań wodnych nie przemawia też okoliczność, że ich nieznano w czasach historycznych. Wyznaję nawet, że tego zarzutu zgoła nie rozumiem, skoro archeologowie jednomyślnie twierdzą, że jeszcze w czasach rzymskich tu i owdzie były one zamieszkiwane. O cóż więc chodzi przedhistorycznym archeologom? czy o to, że żaden z rzymskich pisarzy nie podał o nich szczegółowéj wiadomości? Wiadomo, że mało się zajmowali ludami barbarzyńskiemi i jak najczęściéj bardzo niedokładne mieli o nich informacye. Ztąd bynajmniéj nie wynika, że to, o czém nie wspominają, za ich czasów nie istniało. —

Nareście przeznaczenie wodnych mieszkań nie było tego rodzaju, żeby żadnym sposobem nie przypadało do stósunków społecznych, jakie istniały w Szwajcaryi na początku naszéj ery, lub krótko przed nią. Archeolog doprawdy nieraz dziwném jest stworzeniem i wiele mu wybaczyć trzeba. Oblicza ile domów mieściło się w każdéj osadzie na palach, ile dusz w niéj mieszkało, jaki był plan jéj i rozkład, a nawet szczegółowo opisuje, jaki nieprzyjaciel ją zburzył. Brakuje tylko liczby poległych i jeńców. W archeologiach przedhistorycznych spotkać się można z planami nawodzisk, (szkoda, że bez nazwisk ulic!) a pan Le Jeon czoło swego dzieła ozdobił jaskrawym wizerunkiem płonącego miasta na palach (L'homme fossile en Europe etc. Bruxelles 1868). Wszystko to są same domysły, a najczęściéj bajki. —

Samo położenie nawodzisk pokazuje, jaki był cel ich, przynajmniéj w Szwajcaryi. Dzisiaj jeszcze jeziora tego kraju są ważnym środkiem komunikacyjnym, choć ich brzegom najczęściéj towarzyszą wyborne gościńce, a niekiedy żelazne koleje. Osady dzisiejsze po części nie nad wodą leżą, lecz na stoku gór, a w dawnych czasach zapewne było tak samo. Istniała zatém konieczność, aby nad brzegiem urządzać rodzaj przystani z magazynami, do których wygodnie mogły łodzie przybijać. —

P. Libelt zarzuca téj hypotezie, naszém zdaniem najrozsądniejszéj z wszystkich w téj materyi podanych, że zapasy, które znaleziono na dnie wody, są zbyt małe, aby ztąd wnosić można o istnieniu magazynów. Skoro jednak sam twierdzi, że większość tych zakładów ogniem zniszczoną została, nie był powinien z tym zarzutem wystąpić. Wielka część zasobów oczywiście poszła z dymem, a mała tylko reszta utonęła i tym sposobem przechowała się do naszych czasów. —

P. Libelt inną postawił hypotezę, poetyczną, to prawda, ale niepodobną do prawdy. Mniema, że na palach mieściły się świątynie pogańskie i mieszkania kapłanów, których głównym celem był kult wody. Hypotezę tę można pominąć milczeniem, bo sam autor oświadcza, że nie ma żadnego historycznego faktu na poparcie swoich domysłów. To też p. Libelt chyba dla tego ją wymyślił, aby wyprowadzić z niéj starość niezmierną owego ludu, gdyż w czasach historycznych nigdzie podobnież urządzonego kultu wody nie napotykamy; skorzystał jednak z téj hypotezy, aby mimochodem rzucić kamień na apostołów chrześciańs twa za to, że owe „świątynie wody,“ (które nigdy nie istniały) bez miłosierdzia palili! Bo niedość, że ta hypoteza nie opiera się na żadnym fakcie, sprzeciwia się ona wyraźnym świadectwom historycznym. —

Sądzę, że p. Libelt i towarzysze jego w archeologicznych badaniach przypominają sobie wymarsz Helwetów, przez Cezara po mistrzowsku skreślony na pierwszych stronicach jego wiekopomnéj księgi o wojnie z Gallami. Powiedziano tam, że Helwetowie, rzucając ojczyznę swoję, spalili dwanaście miast i czterysta osad, a wszelkie zasoby, nie potrzebne na drogę, niszczyli ogniem. —

Gdyby większość archeologów nie powodowała się ślepą nienawiścią do chronologii biblijnéj, która właśnie dla tego, że nie pozwala bujać po błękicie marzeń przedhistorycznych, zbyt krótką im się wydaje, mieliby w słowach Juliusza Cezara wyborny klucz do rozwiązania zagadki falbantów. Bo jeżeli w czasach późniejszych niektóre z nich jeszcze zamieszkiwano, nie kto inny w nich siedział, jeno Helwetowie, gdyż Cezar świadomy pochodzenia plemiennego ludów, z którymi miał do czynienia, uważa mieszkańców szwajcarskich za plemię jednolite, celtyckie. Oni więc, nie kto inny, i to dobrowolnie, większą przynajmniéj część nawodzisk zniweczyli. —

Dalsze opowiadanie Cezara wyjaśnia, dla czego zwolna nawodne mieszkania wyszły z używania. Plemię Helweckie wyruszyło do Gallii w 360,000 dusz, z których po przegranéj bitwie i nieszczęśliwéj kapitulacyi, powróciło tylko 100,000 do ojczyzny. Jeden z warunków kapitulacyi obowiązywał Helwetów do odbudowania osad zniszczonych, ale warunek ten nie został w całéj rozciągłości wykonanym. Ludność zmniejszona do jednéj trzeciéj pierwotnéj liczby głów, nie mogła wszystkich dawnych osad zająć na nowo. Powróciła ogołocona z wszystkiego, a w ojczyznie zastała pustki. Brak więc materyalnych zasobów, niedostatek rąk zdolnych do pracy, upadek ducha, nieuniknione następstwo wielkich klęsk politycznych, tłómaczą dostatecznie, dla czego większość nawodzisk nie powstała więcéj z gruzów. Stawianie ich wymagało nieskończenie więcéj zachodów, aniżeli stawianie domów na lądzie. Okazały się zresztą mniéj potrzebnemi, bo wiele okolic zamieniło się w pustkowia, ruch handlowy

znacznie się zmniejszył. Społeczne stósunki doznały zupełnéj zmiany, a napływ rzymskich kolonistów, którzy coraz więcéj zalewali alpejskie doliny, wprowadził nowe zwyczaje, nowe komunikacye. Nawodne mieszkania odtąd znikają, tak jak ich pierwotni mieszkańcy znikają coraz więcéj wśród rzymskich i germańskich ochotników. —

Ażeby nie przyjąć naszego rozumowania, potrzebaby wykazać, że nawodziska szwajcarskie są rzeczywiście o kilka tysięcy lat starsze od rzymskiéj inwazyi. Materyaliści twierdzą, że mają takie dowody, na których polegając p. Libelt zaręcza, że niektóre z nawodzisk najmniéj 6,000 lat mają, inne podobno są jeszcze starsze. Jeden z jego dowodów, że znalezione wyroby wszystkie należą do epoki kamiennéj, nie zdaje mi się zasługiwać na rozbiór poważny, gdyż epoka kamienna nie mieści w sobie żadnéj daty chronologicznéj. Później zresztą poświęcimy jéj słów kilka. —

Więcéj naukowego pozoru mają za sobą dowody geologiczne, których p. Libelt nie przytacza, choć jedynym poważnym są argumentem. Obliczono n. p., że jezioro newszatelskie w niektórych punktach od czasów rzymskich cofnęło się o jakie 2500 stóp. Otóż znaleziono nawodziska w odległości 5500 stóp od dzisiejszych brzegów. Oczywista rzecz, że ta odległość daje najmniéj 3300 lat, jeżeli jezioro cofało się bezustannie w téj saméj proporcyi. Jeżeli obliczenie prawdziwe, pochodziłaby ta osada co najmniéj z czasów Mojżesza. Na mocy podobnych rachub przyznano palom w okolicach jeziora Bielskiego aż 6000 lat. Jednakże wszystkie te obliczenia opierają się na błędnéj zasadzie, i Karól Vogt nie przypisuje im wielkiéj wartości. Według niego nie o to chodzi, w jakiéj proporcyi wody się cofały, lecz w jakiéj opadały. Trzebaby dowieść, że opadanie wody odbywało się z niezmienną regularnością. To zaś wykazać, wydaje mi się po prostu niepodobieństwem. —

Inne rachuby chciano oprzeć na warstwach ziemi napływowéj, ale i tutaj pozbawieni jesteśmy wszelkiego czasomiaru, bo wylew rzeki, szczególnie kiedy tak jest kapryśna, jak większość alpejskich potoków, nieraz więcéj szlamu w jednym roku zostawia, aniżeli w innych czasach w ciągu lat stu. To też powiada trafnie p. Lyell, że wszystkie podobnego rodzaju obliczenia wieku nawodzisk można uważać za próby nieudane. —

Karól Vogt, któremu przecież bardzo chodzi o jak największe przedawnienie rodzaju ludzkiego, nie lepiéj o nich trzyma, twierdząc, że jedyną pewną chronologiczną podstawę mógłby torf stanowić, pokrywający nieraz nawodziska. Wartość chronologii, opartéj na przybywaniu torfu, poznaliśmy już wyżéj; rada więc p. Vogta brana cum grano salis chyba tego dowodzi, że archeologowie powinniby przestać szukać przedhistorycznego chronometru. A teraz niech czytelnik sam orzeknie, co warte są śmiałe wywody starożytników, że jakieś stare belki lub pale mają już sześć lub dziesięć tysięcy lat. Prawdziwa nauka z nimi nic wspólnego nie ma, ani z ich śmiesznemi liczbami. —

Sumienni badacze, którzy gruntownie zapoznali się z nawodziskami, do zupełnie przeciwnych doszli wniosków. Hochstetter, Maurer, Pallmann, Hassler, Fraas zgadzają się na jedno, że najmniejszéj nie ma potrzeby, odnosić te osady po za dziesiąte przedchrześciańskie stulecie, a bardzo wiele poważnych powodów, aby im naznaczyć wiek daleko młodszy; że większość z nich dopiero z czwartego, lub najdaléj piątego wieku przed erą naszą pochodzi. Oto, co mówią ludzie uczciwi. —

Do ocenienia zarzutów antibiblijnych wielu niby geologów i niby archeologów, sympatyzujących z materyalizmem, posłuży artykuł w Gazecie Augsburgskiéj, który taktykę tych ludzi wybornie sądzi i tłomaczy. Treść tego artykułu mniéj więcéj taka:

Ferdynand Keller, który najwięcéj odznaczył się w studyach o nawodziskach i najwięcéj powoływanym jest do sądzenia w téj sprawie, nigdy nie podał ich wieku w liczbach, ponieważ ku temu nam zbywa na potrzebnych danych naukowych. Ani znakomity Desov, ani głęboki i bystry zarazem akademik petersburgski von Bär, który tak doskonale objął pierwotny stan ludności europejskiéj, ani Lyell nawet, ani żaden z duńskich archeologów nie wystąpił nigdy z chronologiczném przypuszczeniem, co do wieku nawodnych mieszkań. Cóż więc powiemy o lekkomyślnych kombinacyach, układanych przez ludzi, którzy z badań Kellera wyjąwszy to, co do gustu im przypadło, puścili w obieg fantastyczne teorye o wieku i początku palowych osad? Nie oddali nauce żadnéj usługi, przeciwnie wiele zrobili złego, rozszerzając błędne i mętne pojęcia, do których sprostowania wedle oryginalnych studyów wielkich wspomnianych badaczy, większość czytelników ani sposobności nie ma, ani czasu nawet, choćby chciała. —

Tak mniéj więcéj przemawia Gazeta augsburgska, a panu Libeltowi szczerze radzimy odczytać jéj trafne uwagi. Znajdzie je pod d. 30. grudnia r. 1864. Nasza zaś konkluzya bardzo prosta; ktokolwiek na mocy nawodzisk zechce rodzajowi ludzkiemu większą przypisać przeszłość, aniżeli biblia opiewa, już nie w imieniu nauki przemawia, lecz gwoli własnym swoim przesądom. A z tego się pokazuje, że jak ze śmieci lub torfów duńskich, tak i z przegniłych palów szwajcarskich nie straszna dla Mojżesza maczuga! —

(Dokończenie nastąpi.)

Lata Piotrowe Piusa IX.

Kiedy umysły rozburzone i wypadkami wojennemi i walką wyborczą zwolna zaczynają się uspokajać, sądzę, że stósowna jest pora zwrócenia uwagi dobrych katolików na zbliżającą się chyżemi kroki chwilę, w któréj Ojciec św. obchodzić będzie dwudziestopięcioletnią rocznicę rządzenia Kościołem św.

Chwila to bardzo wielka i uroczysta! Spogląda ku niéj ze zdumieniem ośmnaście wieków brzemiennych tylu wypadkami dziejowemi i poważną liczbą 260 Papieży!

Pierwszy to Papież w kolei tylu Papieży, któremu P. Bóg udzieli, jak ufamy, łaskę obchodzenia „*lat Piotrowych.*“

Któż w tych latach Piotrowych, których, ufamy, Pius IX. doczeka, nie dojrzy dziwnych a cudownych zamiarów Opatrzności względem obecnego Następcy Piotrowego? Komuż nie stanie przed oczy to przeświadczenie, że Pius IX. to mąż Opatrzności dany naszym nieszczęsnym czasom ku ratunkowi?

W ubóstwie przyszedł Piotr św. do Rzymu, z kosturem podróżnika wędrownego założył Stolicę św., w męczeństwie zakończył swój pontyfikat — rzecz dziwna! pierwszy Papież, któremu dano doczekać lat Piotrowych także w ubóstwie obchodzić je będzie i całe życie Crux de Cruce, w obecnéj chwili wystawiony jest na niebezpieczeństwo krwawego męczeństwa od tłuszczy rewolucyjnéj. Promienna ta postać Piusa IX. pociągająca ku sobie i najzawziętszych przeciwników i zmuszająca ich do ukorzenia się przed tą moralną wielkością, panująca wspaniale nawet w ubóstwie i opuszczeniu swojém, nad temi kolosami materyalnéj wiel-

kości, zbudowanéj na gruzach praw, słuszności, sprawiedliwości. —

Czyż nie widzicie ręki cudownéj Opatrzności spoczywającéj nad Piusem IX., że kiedy On ma jubileusze swego kapłaństwa i panowania na Stolicy Piotrowéj obchodzić, chmury czarne wojen rozpraszają się, a nastaje cisza i spokój na świecie, aby świat upojony swą materyalną wielkością, mógł pilne zwrócić oko ku najwyższéj moralnéj Powadze na ziemi, i ciekawym łowić uchem okrzyki i wybuchy radości i wesela serdecznego na cześć Namiestnika Chrystusowego? Taka cisza uroczysta była na świecie w dniu obchodu 25letniéj rocznicy kapłaństwa Piusa IX. na taką ciszę się zanosi na obchód lat Piotrowych Piusa IX.

Już w innych krajach rozpoczął się w tym względzie ruch katolików, już komitety zawiązane wydają odezwy gorące, aby świetnie i godnie i stósownie do chwili tak ważnéj, obchodzić tę uroczystą chwilę w dziejach Papieztwa i Kościoła. Szczęk broni ucichnie, huk broni zabójczéj zamilkł, aby tym więcéj uwydatniła się postać Piusa IX. księcia pokoju, błogosławiącego Urbi et Orbi, i z oczyma w niebo wzniesionemi, pokój wzburzonemu światu niosiącego słowy: „Pax Vobis“!

Czy i my Polacy mamy pozostać obojętnymi w tym względzie, my, którym Papieże szczytny dali przydomek „prawowiernego narodu?“

Czyż godzi nam się zapomnieć, żeśmy wykarmieni rzymskim katolicyzmem i wychowani tak, żeśmy niegdyś poważne mogli zająć miejsce w rodzinie narodów europejskich?

Czyż nam wolno zapomnieć, że ku nam Papieże z miłością zwracali oczy swe, i że nas uważali za przedmurze chrześciaństwa przeciw dziczy Mongolskiéj, że naszą ziemię, ziemią męczenników za wiarę nazywali?

Czyż nam wolno zapomnieć, że jedyna Stolica Apostolska przeciw rozbiorowi naszéj ojczyzny protestowała i od dworu do dworu pokornie a miłośnie pukała dla nas o ratunek przeciw rozdarciu?

Czyż ku Piusowi IX. cały naród nie pobudzi się do żywéj wdzięczności za piętnowanie przezeń ucisków i gwałtów wykonywanych na biednéj naszéj Polsce?

Czyż wyszły nam z pamięci owe wspaniałe pisma Piusa IX. do Arcybiskupów i Biskupów Polskich, owo wydobycie obrazu cudownego Acheropita i odprawienie z nim pokutnéj procesyi na rzecz uciśnionéj i krwią zalanéj krainy, owe czułe przemowy do Polaków, ile razy ich przywiązanie przyprowadziło do stóp Jego?

Czy wolno nam być obojętnymi w obec tego, który jeżeli był i jest Ojcem wszystkich katolików, to nas Polaków szczególniejszą zawsze darzył miłością, przygarniał do serca współcierpiącego z nami?

Nie — nie wolno nam być obojętnymi w obec zbliżających się lat Piotrowych Piusa IX. — trzeba nam zamanifestować naszą jedność z Stolicą Piotrową, nasze przywiązanie ku Niéj — tego wymaga od nas nasza przeszłość dziejowa na wskroś katolicka, — tego wymaga od nas wdzięczność narodowa!

Zawczasu nam się trzeba sposobić na dzień 17. Czerwca r. b.

Uroczystości kościelne obmyśli i rozporządzi Władza duchowna; ale obok tego zdaje nam się, że trzeba, iżby się zawiązał osobny komitet złożony ze świeckich i duchownych, katolików polaków i niemców. To jest pole, na którem obie narodowości porozumieć się mogą, tu ich serca katolickie się zrozumieją. Katolicyzm nie znosi różnicy narodowości, lecz je uświęca, niszcząc co jest w nich pogańskiego.

Do komitetu tego, któryby się porozumiał z Najprz. Arcypasterzem, należałoby ułożenie programu obchodu uroczystego po za kościołem.

Jako projekt do przyszłego programu pozwalam sobie co do sposobu obchodzenia uroczystości następne uwagi poczynić:

Uroczystość tę możnaby przenieść na następną Niedzielę tj. na 18. Czerwca.

Kościoły przystroilibyśmy w zieloność, kwiaty; w każdym kościele portret Ojca św. należałoby powiesić na środku kościoła, otoczony kwiatami.

W Poznaniu dałby się urządzić na wieczór pochód z pochodniami i muzyką do pałacu Arcybiskupa jako do Legata Urodzonego Stolicy Apostolskiéj i Prymasa kościelnéj prowincyi Polskiéj. Po większych miastach prowincyonalnych te same pochody odbyłyby się do proboszczów miejscowych. Po miastach oświetlonoby kościoły i domy. Ze wsi i mniejszych miasteczek ruszyłyby liczne pielgrzymki do miejsc cudownych na intencyą Ojca św. np. dekanaty Śremski, Borecki, Krobski do Świętéj Góry Gostyńskiéj, dekanaty Kościański, Śmigielski do Górki duchownéj, Wałecki do Wielenia, Zbąszyński do Rokitna, Pleszewski, Ołobocki i Nowomiejski do Turska.

Adresa wraz ze składkami po wszystkich parafiach podpisywane przesłanoby na ręce JO. ks. Prymasa.

Wszystkie Towarzystwa Katolickie jak św. Wincentego, męzkie i żeńskie, Czeladzi, itd. walne zebrania w tym dniu ze stósownemi przemowami mogłyby odbyć z poprzedzeniem rekollekcyi na intencyą Ojca św., ku czemu i pora sprzyja.

Powyższe uwagi niechaj będą dopiero rzuconym zarysem do przyszłego dobrze obmyślanego programu.

Im świetniéj, im uroczyściéj będziemy obchodzić lata Piotrowe Piusa IX., tym większa dla nas chluba przed Bogiem i światem katolickim.

Jeszcze raz przywodzę na pamięć, że nas do tego wzywa uczucie i rozum katolicki, łączność z katolikami całego świata, przeszłość nasza i wdzięczność narodowa! —

X. W. Woliński.

KORESPONDENCYE.

(λ) **Rzym** d. 25. marca 1871 r.

Jesscze o allokucyi. — Agencya kłamie. — List Ojca św. do kardynała Patrizzi. — Strach Włochów. — Nota austryacka. — Sposobik pana Selli. — Bulla o konklawe. — 12. kwietnia i powrót z Gaety. — Protestacya kardynałów. —

Moje doniesienie o mniemanym konsystorzu i zaprzeczenie o jakoby mianéj allokucyi było najprawdziwsze. Nie daliście się przeto wywieść w pole, jak tyle innych dzienników katolickich, n p.: *Unita cat.*, *Breslauer Hausbl.* i tyle innych, które dopiero później mylną wiadomość sprostowały. Dziś już nie ulega żadnéj wątpliwości, że allokucyi zadnéj nie było, i że agencya Stefani w ręku masonów zostająca, skłamała bezczelnie, gdy aż treść przemowy podała i autorów wymieniła. Gdyby była allokucya, nie chowałby się Ojciec św. z jéj ogłoszeniem, bo cel główny przemowy jest, aby katolicy się o niéj dowiedzieli; względy poboczne nie mogły tu wnijść w rachuby, jak chętnie głoszą

przeciwnicy, bo znaną jest odwaga Piusa IX. tam, gdzie chodzi o wypowiedzenie prawdy, lub obronę Kościoła.

Przy ostatniém mianowaniu biskupów wystósował Ojciec św. list do kardynała Patrizzego, dziekana kolegium kardynalnalskiego i wikarego Jego Świątobliwości. W liście tym silnemi wyrazy potępia zachowanie się rządu w obec zasłużonego zakonu OO. Jezuitów, przyznaje, że w rzeczach kościelnych wielkiéj wagi, zasięga rady także u uczonych członków Towarzystwa, że kłamstwem jest, jakoby był Ojciec św. narzędziem w ich ręku. W końcu przechodzi do tak zwanych rękojmi dla Stolicy Apostolskiéj i odrzuca je jako wyskok niedorzeczności, podstępu i obłudy.

Nerwy Włochów drżą na samo wspomnienie, że pewnego pięknego poranku będzie trzeba opuścić Rzym *la bella Capitale. Correspond. de Genève* donosi, że stronnictwo czerwonych posłało 2 miliony fr. do Francyi, aby podżegać rozruchy w Paryżu i tym sposobem odwrócić Francyą od interwencyi w sprawie Papieża. Bardzo być może; wiedzą oni bowiem, że Francya rozsądna, nierewolucyjna zażąda niedługo rachunku za złamanie traktatu. W téj materyi szczere robi wyznanie korespondent do *Italia nuova* z samego Paryża. Ubolewa nad Francuzami, że zanadto są klerykalni, że ciągle myślą o pomszczeniu się nad Włochami i oswobodzeniu Rzymu, że uważają w ogólności zajęcie Rzymu przez Włochów za największą klęskę podczas kampanii francuzko-pruskiéj. Jeżeli tak rzeczy stoją w Paryżu, cóż pomśleć o prowincyi? Synowie tego świata, mężowie kielni uznali za najstosowniejsze podsycać wojnę bratobójczą, a tymczasem zyszczą nieco czasu do przeniesienia ostatecznego stolicy do Rzymu de facto. — A jednak ludzie strzelają, a P. Bóg kule nosi. Pieniądze włoskie podobno we Francyi zabrali, a na domiar nieszczęścia nadeszła z Austryi nota urzędowa do gabinetu florenckiego. Długo jéj ogłosić nie chcieli panowie ministrowie, aż nareszcie dziś znamy jéj osnowę. W nocie wyraźnie stoi, że wolność udzielona Papieżowi przez rękojmie florenckie nie jest dostateczną, sumienia katolików pod berłem austryackiem są zaniepokojone, rząd przeto wiedeński, dbając o spokój swoich poddanych, zwraca uwagę, aby stanowisko Papieża było takie, iżby katolików zadowolniło.

Gazety urzędowe włoskie pocieszają się, że nie jest dosyć jasną ta nota, ponieważ nie pisze, czego wyraźnie sobie dla Papieża życzy; dla nas pierwszy ten krok dyplomatyczny jest dobrą zapowiedzią i każe się spodziewać innych tego rodzaju.

Osservatore Romano rzeczywiście już mówi o jakiejś zbiorowéj nocie wszystkich mocarstw przeciw Włochom; niewiem, ile w tém prawdy, ale, że wiadomość ta z takiego wychodzi źródła, zasługuje na uwagę.

Ten zwrot w polityce, grożący przyćmieniem gwiazdy włoskiéj, nie dziw, że niepokoi p. Sellę i popycha go nawet do niekonsekwencyi. *Coresp. de Genève* pisze, że p. Sella zwołał deputowanych katolików w parlamencie florenckim, dając im do zrozumienia, aby podali protest przeciw przeniesieniu stolicy do Rzymu, opatrzony 200 podpisami. Ze swéj strony minister finansów przyrzekł rozwiązać izbę pod warunkiem, że katolicy do nowéj Izby masami garnąć się będą. Interpelowani odrzucili projekt, gdyż czas pół środków w polityce już minął. — Znaczyłoby to cofnąć się z Rzymu legalnie z woli ludu; ale nie długo panie Sella poczekasz, aby się wynieść z Rzymu najlegalniéj w świecie.

Z listów moich przekonać się mogliście, jak kocham Włochy, politykę włoską, która jest istotnie *sui generis,* i kto wie, czy przy ich wymarszu z Rzymu muzy mnie nie natchną do napisania jakiéj elegii á la Kochanowski na śmierć Urszulki. Trudno, trzeba na wszystko być przygotowanym.

Teraz wam powiem wiadomość zupełnie sekretną, którą będziecie wiedzieli komu powiedzieć. Sekretną dla tego, że jeszcze nie wypłynęła na wielki tapet dziennikarski, tylko niektórzy uprzywilejowani o niéj wiedzą. Ojciec św. wyda niebawem bullę zmieniającą dotychczasowy sposób obierania Papieża. Książę Humbert bowiem z żoną Małgorzatą, jak wam wiadomo, ciągle siedzą w konklawe Kwirynalskim i może myślą o wyborze jakiego Gavazzego na Papieża po śmierci Piusa IX. Tymczasem Ojciec św. ze zmianą okoliczności określa przezornie czynność i sposób przyszłego konklawe, aby rzeczy boże działy się po bożemu.

Dnia 12. kwietnia przypada uroczystość zwykle świetnie w Rzymie obchodzona tj. pamiątka powrócenia Ojca św. z Gaety. Roku bieżącego kto będzie miał zdrowe nogi, uda się do kościoła św. Piotra i będzie ogólna komunia św. na intencyą Ojca św. Tego przecież gwarancye florenckie nie zabronią!

Deputacya katolików z Anglii jest w drodze; a jeżeli doczekamy 21. czerwca ujrzymy ze wszystkich stron świata katolików zdążających do stóp Ojca św. na dniu, w którym przeżyje lata pontyfikatu Piotra św. Słyszę, że z Galicyi i Księstwa Poznańskiego wiele osób się wybierze. Brawo!

Rząd nowy kazał zdawać sprawę i opisać wartość majątków kościelnych, aby pewnie niedługo wydać rozporządzenie, że majątki kościelne są własnością narodową, tak jak *bibloteka watykańska, muzea i galerye.*

Przeciw temu zaprotestowało pięciu kardynałów a mianowicie: kard. Patrizzi, Amat, Paracciani-Clarelli, Milesi i Sacconi i powołują się na naukę Kościoła o dobrach kościelnych i na cenzury latae sententiae w konstytucyi *Apostolicae Sedis.*

Z Wałeckiego.

Mimo, że tu na północno-zachodnim krańcu archidyecezyi w powiecie niegdyś granicznym ziemi Wielkopolskiéj, który obecnie całkiem stracił cechę polskości, nie ścierały się interesa dwóch narodowości, wrzała i tu walka wyborcza.

Katolicy powiatu zostając w mniejszości liczebnéj (3: 5) od lat wielu uznając przemoc głosowali na kandydata protestanckiego, który dawał gwarancyą, że nie będzie szkodził interesom religijnym. Przy obecnych wyborach wyszły szydełka z miecha. Na zgromadzeniu przedwyborczem w Wałczu jeden z mówców protestanckich przez zwrot niezręczny naraził sobie umysły katolików wygłaszając: Nie trzeba nam się bać ani republikan ani liberałów, naszym wrogiem ultramontanizm. Wobec takiéj insynuacyi żaden z trzech kandydatów protestanckich (dziedzice dóbr Günther z Marcinkowa, hr. Stollberg z Tuczna, Klitring z Luben) nie mógł zyskać zaufania katolików, którzy, o ile czas dozwalał, porozumiawszy się, głosowali na radzcę sądu miejskiego w Berlinie Dra Kochann, gorliwego katolika, zdatnego prawnika i męża powszechnie szanownego. W skutek takowego rozstrzelenia głosów żaden z 4 kandydatów absolutnéj większości nie otrzymał. Pomiędzy pp. Günther i Kochann naznaczono wybór ściślejszy na 16. Marca. Protestanci oburzeni, że katolicy śmieli samodzielnie wystąpić, wydali odezwę pełną obelg, zelżywości i brudu, w któréj głoszą, że pewna partya agitująca w ukryciu zapisała sobie osobę nieznaną ze świata i że bałamuci umysły, nadając sprawom politycznym znamie religijne. P. hr. Stollberg prosi w osobnéj odezwie, by wszyscy, co go zaszczycili swem zaufaniem przy pierwszym wyborze, teraz, gdy uległ głosowali na p. Günther. Nawet p. radzca ziemiański powiatu w publikacyi swéj nie waha się popierać p. Günther. Wszystko stawa frontem na katolików. Nie podobna było milczeć na wszystkie te zarzuty, to téż katolicy duchowni i świecy na zebraniu w Wałczu pod przewodnictwem X. Offcyała Habisch na dniu 13. Marca wydali odezwę pełną godności, by uśmierzyć rozbudzone namiętności, wyświecającą rzecz objektywnie, podali program pana Kochann i tegoż kandydaturę zalecili.

Już przy pierwszych wyborach darcie kartek, częstacye, namowy itp. środki „moralne“ były na porządku dziennym. W rzeczonéj odezwie nie powstydzili się koryfeusze partyi zalecającéj p. Günther podać praktyczny

środek, by przed każdym lokalem wyborczym ustawiono człowieka pewnego, któryby wciskał idącym na wybory przede drzwiami kartki na rzecz p. Günther. Innych jeszcze chwycono się środków, by wywrzeć niechęna katolików za to, że korzystając z swego prawa obywatelskiego, ośmielili się głosować na katolika. Res inaudita! Hannibal ante portas! Panika nie do opisania! Pastorzy, nauczycieie, sołtysi, dziedzice, wszystko agituje i jeździ po powiecie!

W Skrzetuszu przy pierwszym wyborze ławnikiem był ks. prob. Tuszyński, do II. wyboru powołano żyda, acz tylko 2 jest we wsi. W Rozwałdzie również żyd był ławnikiem. P. Wahnschaffe dziedzic Rozwałdu służebnym katolickim głosującym na p. Kochann podawał terminatki. Toż było w Gostawie. Dziedzic z Kegelsmühl katolikom służebnym takie ponadawał zatrudnienia, że się na wybory spóźnić musieli, protestanckich ludzi tejże osady prowadził jak do boju nauczyciel domowy z cedułkami na p. Günther. Oczywiście, że katolicy ulegli; p. Günther otrzymał około 5000 p. Korbann około 3000 głosów.

Dowiedli przynajmniéj katolicy swéj dojrzałości politycznéj, okazali, że stanowią czynnik, którego bezkarnie lekceważyć, a tém mniéj obrażać nie wolno, że w razie walki stronnictw decyzya w ich znajduje się ręku. Dowiedli, że acz stracili język i obyczaje polskich swych ojców, stać umieją silnie przy tém, co każdemu sercu katolickiemu jest drogie i święte.

X. M.

△ **Z dyecezyi przemyskiéj,** 15 marca.

Przypatrując się wrącéj u was na polu kościelno-narodowém walce, w któréj jedna strona, acz niezachwianie, swego trzyma się znaku wojennego, usprawiedliwia się, tłumaczy, przekonywa, i do zgody rękę wyciąga; a druga tyle żółci, ile atramentu, tyle obelg, ile słów wylewa: jak na widok każdego boju bratniego, głęboka nas przejmuje boleść. I czemuż to, czemuż dotkniętéj wiekową, ciężką niedolą matce nowe zadajecie rany? Czy to swywola, czy zaślepienie obłędu, czyn wasz matkobójstwa ze siebie nie zetrze piętna. Zerwaliście się w imię, jak twierdzicie, zagrożonéj sprawy narodowéj. Lecz zważcie, bracia, azaliż oddanie Ojca św. w poddaństwo króla włoskiego, wyrugowanie ze szkół nauki religii, śluby, raczéj małżeństwa cywilne i zniesienie choćby wszystkich zakonów, sprawę narodową niechby o włos naprzód posuną? I znowu, czy niepodległość papieża, szkoły wyznaniowe, małżeństwa kościelne i zkądinąd przerzedzone zakony, jeżeli błogosławionego tych instytucyi wpływu nie widzicie, by najmniejszą rozwojowi i wzrostowi téjże sprawy tamę kładą? Spodziewam się, że żaden rozsądny na te pytania twierdząco nie ośmieli się odpowiedzieć. Jeżeli zaś tak, czemu nie uwzględnić żądania duchowieństwa, tego potężnego pracy narodowéj czynnika, za którym nadto stoją rzesze ludu? Azaliż nie powinienby sam rozumdo radzać, abyście w robocie, do któréj zaledwie wszystkie starczą ręce, nie odtrącali tych, co skutecznie pracowali i pracować chcą, skoro o nieszkodliwości warunków przez nich stawianych nie ma żadnéj zgoła wątpliwości, jak też że warunki te są dla nich obowiązkiem sumienia? Chodzi wam o liberalizm! Wszelako czy liberalizm prawdziwy nie winien każdego szanować przekonania, byleby ogólnego dobra i celu nie naruszał? Czy nie upomina się o wolność i nietykalność sumienia? Zawsze liberalizm gwałcący przekonanie i sumienie to szych, nie złoto, to pozór, nie istota, to kłam, nie prawda. Idzie wam o solidarność z liberałami europejskiemi. Lecz czy oni nas zbawią? czy nie patrzycie na ich zachowanie się względem skrwawionéj i zeplwanéj Francyi? nie słyszycie jak klaszczą w dłonie, kiedy im mówią: nie narodu wola i prawa, lecz miecz rozstrzyga o zwyciężonych? A nam solidarność z tymi liberałami, którzy wszelkie prawo według dogodności swojéj nicują, a zapomniawszy się w zapędach swych, narodowość średniowiecznym nazywają przesądem lub mrzonką dziecinną, jakie przyniosła pożytki? Podobnoć lepiéj nie wspominać, niżeli pamięcią na nie rozgoryczać przepełnione gorzkością serce. I dla téj solidarności targacie solidarność z bracią, naród z pewnością nie mniéj od was miłujących. Zaiste, nie wiecie co czynicie, chyba że radość Katkowów, Pawliszczewów i t. d. oczy wam otworzy. Beznamiętnie patrzymy na was i właśnie dla tego przenika nas sroższa boleść. Chcąc całkiem być szczerym, przyznaję, że są u nas, coby woleli, żeby duchowieństwo nie było z punktami swemi wystąpiło, toć i ci w ogóle uznają, że duchowieństwo do tego było znaglone, a skoro się stało, rozum polityczny nakazywał zgodzić się na warunki bądź co bądź nieszkodliwe, a będące dla przeważnéj narodu większości sprawą sumienia, sprawą z pojęciem, poczuciem i istotą narodowości nierozerwalnie spojoną. Smutno nam, że fałszywy, nieswojski liberalizm gryzący rozczyn swój zdołał zapuścić w najzdrowszą, jak dotąd mniemaliśmy, część narodu. Dałby Bóg, aby na jedynie prawdziwym gruncie polskim, zaczém i katolickim — czém bynajmniéj nie uwłaczam innowiercom naszym, a prawym ojczyzny synom — jedność i zgoda w rychle powróciły; gdyż inaczéj przez wrogów rozdarci na szmaty, sami się rozszarpiemy na strzępki. A potém?...

Zgubne wewnętrznych rozterek narodowych skutki wszędzie za dni naszych biją w oczy. Francya we własnéj krwi pławiąca się temu rozdarciu winna obecne poniżenie i niesłychany pogrom. Przez cały czas krwawego dramatu daremnie czekaliśmy porywu patryotycznego. Patryotyzm rzetelny w słynnym przez wieki z téj cnoty narodzie znikł, boć stronnictwa jedno o własne dbałe zwycięztwo, wzajemnie się spychały i krzyżowały, udaremniały wysilenia, z innego acz swojskiego wychodzące obozu. Hiszpania, niegdyś światowładne mocarstwo, na stronnictwa rozpadła, sama się pożera, a dla Europy nie istnieje. W ukochanéj, prawdziwie nie wiedzieć za co, Italii niewiele lepiéj, a wnet, jeżeli wszystko nie myli, dużo gorzéj będzie. Jedne Niemcy w olbrzymią rosną potęgę, boć tam o nią wyłącznie chodzi, boć zjednoczenie celem wszystkich, boć tam ulegają temu, który celu tego najskuteczniéj dopina, a wewnętrzny ustrój, większe swobody, urzeczywistnienie tych lub owych zasad czy widoków, odłożone na późniéj. My, niestety, przeciwnie postępujemy. Praca przed nami ogromna, rąk do niéj mało; a przecież miasto zgodnie pracować, kłócimy się, rozjątrzamy, zawiść i nieufność siejemy, to też praca nasza krokiem się nie posuwa, owszem nowemi kraj zasypujemy gruzami. Ciężka za to odpowiedzialność spada na dziennikarstwo, nie narodowi lecz stronnictwom w służbę oddane.

Wychodzę ze stanowiska czysto politycznego i przepominam na chwilę o mym katolicyzmie, czy ultamontanizmie, jak go zaprawdę bezmyślnie przezywają, aby tém snadniéj przekonać, jak ciężkim nienawiść ku kościołowi katolickiemu grzechem przeciwko narodowi. Niezaprzeczonym faktem, że naród nasz w niezmiernéj większości swéj katolicki. Fakt nie potrzebuje uznania, bo on jest, nie da się zdmuchnąć ani zabić. Jedno przez nowy fakt może być zepchnięty do przeszłości, a i tam jeszcze żyć, o prawa swoje upominać się i wyprzeć zwycięzcę swego usiłować długo jeszcze będzie. Fakt nasz żyje, a chociaż na drzewie jego drobne gałązki stoczyło robactwo, chociaż wściekła burza złamała jeden, niechby dwa konary, toć przez dziewięć wieków korzenie tak głęboko zapuściło, że uschnięte nowemi zastępuje pędami, co więcéj, złamane konary znowu zrość się z niém mogą. Takim jest w narodzie naszym fakt katolicyzmu. Pytam tedy, czy rozumnie postępuje dziennikarstwo, nieliczące się z jawnym, żyjącym faktem? Rzekną może gazeciarze, rozumie się pocichu, boć fakt katolicyzmu tak przemożny, że brak odwagi na głośne wypowiedzenie: my nie katolickiéj, lecz liberalnéj chcemy Polski. Macie więc nadzieję, że wam się powiedzie wywrócić, zniszczyć katolicyzm w narodzie. Staćby się to mogło, bo stało się gdzieindziéj, chociaż i tam nie zupełnie, a co gorsza dla was, gdzie się stało, katolicyzm zwłaszcza w najnowszéj dobie szybko się odradza, np. w Anglii, po części i w Niemczech. Ale, panowie, przewrót ten niełatwy, zwłaszcza, że was nikt mieczem i pożogą, ani knutem i Sybirem nie poprze. Jad przez was zapuszczany na zatrucie katolicyzmu zgoła dotąd nie dotknął ludu, nieprędko i to, jeżeli wam się uda, ledwie powierzchownie go dotknie, bo to organizm pod tym względem silny i zdrowy, do tego ma stróżów, co nad nim czuwają, i lekarzy, co mu cudownie działające zadają antidotum. Długo tedy, bardzo długo czekaćby wypadało, nimbyście na swojém postawili, a do tego usiłowań wypadek wcale niepewny, a w każdym razie niezupełny. Czyż tedy nadzieje narodowe odkładacie aż do odkatoliczenia narodu? Czy zaś to rozumne, uczciwe i patryotyczne? Moje przekonanie mówi mnie: Jeżeli wola Opatrzności, aby naród nasz odzyskał niepodległość, to będzie niezawisła Polska bez was, a z wami, z waszą robotą nie będzie jéj nigdy, gdyż nie na jéj wskrzeszenie, ale pogrzebanie pracujecie, i świadomie czy nieświadomie, zadarmo czy zapłaceni, jesteście pomocnikami jéj grabarzów. Świadomym i kupionym Kaimowe znamię na wieki, nieświadomym i zadarmo na

zagubę pracującym zastanowienia, rozwagi, wyjścia ze zaślepiającego obłędu i ze zaciemniającéj namiętności. Od boleści wypada pióro z ręki...

Koło sejmowe.

Posłowie nasi wysłani na sejm rzeszy niemieckiéj, po zawiązaniu się w koło sejmowe, zapewne najprzód pomyślą o przepisaniu sobie regulaminu, któryby lepiéj niż w dotychczasowym odpowiadał życzeniom ogółu wyborców i usunął niedostatki i nadużycia, jakich w ostatnim czasie rażący mieliśmy przykład. Mamy tu na myśli ową eskamotowaną rezolucyą, potępiającą oświadczenie duchowieństwa. Zbytecznem byłoby dowodzić, że koło sejmowe, jako zależne od wyborców, nie zaś władające niemi, nie posiada prawa, zwłaszcza w chwili nowych wyborów, ogłaszania swéj opinii nad postępowaniem chociażby tylko cząstki tychże wyborców. Od czegóż jest komitet wyborczy i delegaci? Tak nam wiele prawią o wyłącznéj, samodzielnéj, nienaruszalnéj władzy komitetu i delegatów w sprawie i kierunku wyborów, a tu ci, co najpierwsi powinniby uszanować tę władzę, podkopują jéj znaczenie i najdotkliwszy wyłom w niéj czynią. Ale dajmy na to, że koło sejmowe miało prawo objawić swe zdanie nad życzeniami i postępowaniem pewnego oddziału wyborców. W takim razie należało ten wyrok szczerze i jawnie obwieścić. Natomiast jakże się rzecz dzieje? Jeden z posłów przybywa na posiedzenie koła z gotową odezwą potępiającą oświadczenie duchowieństwa. Koło sam pomysł nawet i zamiar jéj odrzuca, gdyż nie dopuszcza jéj odczytania. Ale przechodząc nad poruszonym przedmiotem do porządku dziennego, postanawia ową rezolucyę, z zastrzeżeniem jednak, aby tę do akt złożono, to jest aby nikomu prócz posłom wiadomą nie była. Miało to dogodzić i jednéj i drugiéj stronie. Ci więc posłowie, którzy odrzucili stanowczo myśl odezwy, nie troszczyli się o brzmienie rezolucyi, będąc pewnymi, iż ona w aktach pogrzebaną zostanie. Tymczasem jeden z nich czy wprost, czy przez upoważnionego przez siebie korespondenta, pospieszył natychmiast ogłosić w *Dzienniku* nie tylko wspomnianą rezolucyę, ale i odrzuconą odezwę. Jakaż to komedya! Rozumiemy dobrze, że nie wszystko, co się w gronie poselskiém dzieje i mówi, być może do druku podawaném. Ale w ważnych kwestyach, zwłaszcza takich, w których nasza społeczność nie jest jednakowego zdania, tajemnicy być nie powinno. Dotąd zaś jawność obrad koła poselskiego zależała od przypadku, często od gorliwości lub chełpliwości jednego z członków, niekiedy od względów osobistych. I tak uciszono sprawę zerwania solidarności w kwestyi posłów duńskich. Dotychczas publiczność nie wie, jak się w istocie rzecz miała. Tak na przyszłość być nie powinno. Większa otwartość, częstsze zdawanie sprawy wyborcom musi nastąpić. Duchownym osobliwie zależy wiele na tém, aby dokładnie wiedzieli, w razie jeśli przyjdzie na stół jedna z tych kwestyi, które sobie zastrzegli, jak kto głosował, jakie przedstawiał argumenta, a nawet czy był lub nie był na naradach koła i na odnośnéj sesyi sejmowéj. Tém więcéj ich to obchodzi, że nie dano im sposobności wybadania kandydatów przed wyborami, i że ci, co nie złożyli wyraźnego przystąpienia do czterech zastrzeżeń, zastawiając się ogólném mianem dobrych katolików, nie mogą inaczéj stwierdzić swéj szczerości jak głosując i przemawiając tak w kole jak na sejmie w duchu tych zastrzeżeń. Jakżeż innym sposobem dowiedzielibyśmy się, czy zasłużyli, aby przy następnych wyborach zaszczycono ich znowu mandatem poselskim?

W liście z Berlina umieszczonym w Nr. 73 *Dziennika* czytamy co następuje:

Frakcyi katolickiéj rzeczywiście nie ma w izbie, aczkolwiek katolicy zwykle zgodnie głosują, gdy przychodzą kwestye mogące ich jako katolików obchodzić. — Czy zaś tak będzie i w téj kadencyi, to ja pozwolę sobie o tém powątpiewać, bo tak jak i u nas i tu ultramontańskie świecko religijne tendencye bodaj nie rozdzieliły katolików. — Polska frakcya znajdzie między niemieckimi katolikami sprzymierzeńców w swych liberalnych tendencyach. — O ile mi się zdaje, zgadzając się na potępienie dokonanego przez Włochy gwałtu, nie zgodzi się (w większości) na zdanie, że gwałt przeszły usprawiedliwia żądanie nowego gwałtu; — zgadzając się na żądanie niepodległości dla Papieża, nie zechce wypowiedzieć żądania władzy świeckiéj dla naszéj Głowy Duchownéj. — Jeżeli o tém dziś wspominam, to dla tego, że, o ile się zdaje, Katolicy wystąpią przeciw adresowi, który wspólnie wszystkie frakcye (oprócz polskiéj) układają, a w którym nie chciano umieścić ani słowa dotykającego Włoch lub Rzymu.

Nie chodzi nam o to czy jest w izbie frakcya katolicka lub czy się dotąd niezawiązała. Ale zwracamy uwagę wszystkich dobrodusznych przyjaciół zgody quand même, ufających, że się między Polakami nie znajdzie żaden, któryby śmiał przeciw Ojcu św. głosować, na wyrazy:

„Polska frakcya zgadzając się na potępienie dokonanego przez Włochy gwałtu, nie zgodzi się (w większości) na zdanie, że gwałt przeszły usprawiedliwia żądanie nowego gwałtu — zgadzając się na żądanie niepodległości dla Papieża nie zechce wypowiedzieć żądania władzy świeckiéj.

Wyrazy te przemazujące od razu pierwszy punkt programatu kościańskiego, najdobitniéj dowodzą, że był on koniecznie potrzebny. A jakiż to w nich machiawelizm? Co znaczy nagana gwałtu dokonanego, jeśli niema nastąpić naprawa i zadosyćuczynienie? Przyznajecie, że się stał gwałt. Nieszczére to przyznanie, bo gdybyście tak myśleli, żądalibyście, aby tę niegodziwość obalono jak najprędzéj. Wam o Włochy chodzi i zawczasu zasłaniacie je niegodziwém wyrzeczeniem, że niechcecie *nowego gwałtu*. Jeźli, jak nam zaręczają, list pisał jeden z deputowanych, to widzimy jak będą reprezentowani w Berlinie *w większości* przynajmniéj katolickie uczucia kraju. Łudzić się w téj mierze byłoby rzeczą próżną.

Stanowisko liberałów a katolików.

Tak zwani narodowcy, czyli liberały, z góry potępiają żądania katolików, twierdząc, że są *„nader szkodliwe i zgubne dla sprawy narodowéj.“* Stanąwszy na téj fałszywéj podstawie, określają swoje stanowisko, mieniąc się obrońcami „polskości, zwracającymi wszystkie swe usiłowania i prace ku sprawie, która dla nich *najważniejsza*, t. j. ku obronie narodowości od wszelkich zamachów, bez względu, z jakiegoby one płynęły źródła.“ Idąc dalej w swojém wiary wyznaniu chełpią się, że „Polskę i miłość dla niéj *wynoszą ponad wszystko*,“ a prócz téj zasady nie znają innych, jedno: *wolność, równouprawnienie, tolerancyą*.“ Takiemi szumnémi słowy określiwszy swoje stanowisko, probują téż po dyktatorsku katolikom czy duchowieństwu wyznaczyć dział pracy, który koniec końców na tém polega, aby duchowieństwo i katolicy w kościele się modlili, katechizowali, ale za to, aby spokojnie znosili wszystkie krzywdy i bezprawia, jakich wiara ich zewsząd doznaje; po za kościołem w pracach „polityczno-państwowych,“ aby karki swoje poddali spokojnie pod jarzmo liberałów, którzy za to będą *„z całych sił zwalczać ich żądania, jako szkodliwe i zgubne dla sprawy narodowéj.*

Zaprawdę, wielką, podziwienia godną „wolność, równouprawnienie, tolerancyą“ okazują liberały katolikom! Kościół, twierdzą, powinien być odłączony od państwa, bo Kościół ma inne zadanie i państwo inne. Ani słowa. Kościół ma zadanie nadziemskie, nadprzyrodzone, państwo zaś ma ziemskie, przyrodzone; lecz ponieważ tak Kościół jak państwo działalność swą rozwija pomiędzy ludźmi na ziemi żyjącymi, przeto obiedwie te instytucye, bozka i ludzka — Kościół i państwo spotykają się na jednym gruncie i oddzielić ich tu w żaden sposób nie można. Członkowie bowiem Kościoła są zarazem obywatelami państwa, i znowu obywatele państwa są członkami Kościoła. Ze względu więc na przedmiot, na który działalność obudwóch tych instytucyi się rozciąga, łączą się one ze sobą, i, że tak powiem, na wskroś się przenikają. Prawa bowiem, które wydaje państwo, obowięzują obywateli, będących zarazem członkami Kościoła, i przeciwnie, prawa Kościoła obowięzują jego członków będących zarazem obywatelami państwa.

Obiedwie te instytucye, Kościół i państwo, ustanowione są dla dobra ludzkości. Kościół dla dobra wiecznego, państwo dla dobra ziemskiego. Każda więc z nich ma prawo odpowiednich, byle tylko nie sprzecznych z prawami naturalnémi i pozytywnémi,

bozkiemi, używać środków do osiągnienia swego celu. Każda powinna być niezależna i wolna w zakresie działania swego. Co gdyby tak było, mogłyby obie instytucye razem najzbawienniejsze dla ludzkości przynieść owoce, Kościółby swobodnie uświęcał, umoralniał i duchowo podnosił ludzkość, państwo zaś materyalnieby jéj dobrobyt ulepszało.

Gdy atoli państwo do dopięcia celu swego używa środków, które się sprzeciwiają prawu naturalnemu lub pozytywnemu bozkiemu, Kościół występuje naprzeciw takiemu działaniu i przynajmniéj tych obywateli państwa, którzy są zarazem jego członkami odwodzi od téj roboty, bo ona szkodzi ich dobru nadprzyrodzonemu. Również, gdy państwo uciska i krzywdzi Kościół, występuje i protestuje Kościół, jako taki, przez swych prawowitych reprezentantów przeciw bezprawiom. (U nas Arcybiskup Dunin przeciw wprowadzeniu małżeństw bezwarunkowych mieszanych — Arcybiskup Przyłuski przeciw sekularyzacyi klasztorów — Arcybiskup Hr. Ledóchowski przeciw grabieży Rzymu). Członkowie zaś Kościoła (katolicy), którzy są zarazem obywatelami państwa Kościół uciskającego, i do rządów tego państwa bezpośrednio czy pośrednio się przyczyniają, mają prawo i obowiązek bronić uciśnionych praw Kościoła. Bo prawa Kościoła to ich prawa, bo krzywda Kościoła to ich krzywda, jako członków tego ciała pokrzywdzonego. Wszelako tutaj nie występują już jako Kościół, jako instytucya, lecz jako obywatele państwa broniący sprawy swéj uciśnionéj. Że katolicy, jako obywatele w państwie konstytucyjném, mają to prawo i ten obowiązek, przyzna każdy nieuprzedzony, przyznają nawet same liberały.

Lecz ci panowie inaczéj rzecz przedstawiają. Twierdzą oni, że katolicy występując jako obywatele państwa w obronie swéj sprawy pokrzywdzonéj, *szkodzą narodowości.* Szedłszy tedy na pole kwestyi partykularnéj, jest wedle twierdzenia liberałów jedno z dwóch: albo *te cztery punkta programu Kościańskiego,* których katolicy bronią, *szkodliwemi są dla narodowości, albo też występowanie w ich obronie.* Co do pierwszego, pytam się, co tu jest szkodliwém dla naszéj narodowości z tych czterech punktów, czy niezawisłość głowy Kościoła? czy sakramentalny charakter małżeństwa? czy wolność zakonów? czy konfessyjność szkół? — Może wolnomyślnym zasadom *Dziennika* i jego towarzyszów są one szkodliwemi, ale narodowości, przyzna każdy, tylko na korzyść a nie na szkodę wyjść mogą. Więc może *bronienie* tych praw Kościoła jest dla narodowości szkodliwém? Tak twierdzi *Dziennik.* Czemu? „Bo rozrywa solidarność, która jest jedynym warunkiem naszego bytu.“ Przekonajmy się czy to twierdzenie prawdziwe. Posłuchajmy. W Księstwie z maleńkiemi wyjątkami taki jest stan rzeczy, że co Polak to katolik. Narodowość nasza i Kościół katolicki reprezentuje u nas jedno i to samo społeczeństwo polsko-katolickie. Obywatele narodowości polskiéj są zarazem członkami Kościoła katolickiego. Mają więc dwojakie obowiązki t. j. względem narodowości i względem Kościoła. Oba te czynniki, narodowość i Kościół są obecnie pokrzywdzone, i jest niebezpieczeństwo, że jeszcze więcéj pokrzywdzone być mogą. Nie masz więc wątpliwości, że obywatele narodowości polskiéj i zarazem członkowie Kościoła mają obowiązek bronić i Kościoła i narodowości, bo i jedno i drugie jest ich sprawą. Tego pragnie duchowieństwo, o to się stara, do tego dąży. Czyliż to się nazywa zrywaniem solidarności? — Narodowcy zaś czyli liberały wypierają się swoich obowiązków względem Kościoła, oni tylko pokrzywdzonych praw narodowości bronić chcą, a prawa Kościoła, którego są członkami, chcą dać na pastwę liberałom téj saméj barwy co oni sami — nie dość na tém, nie tylko sami obowiązek bronienia praw swego Kościoła od siebie odmiatają, ale jeszcze wręcz zaprzeczają prawa obrony Kościoła tym katolikom, którzy tę obronę uważają za swoję świętą powinność. Dla wszystkich w świecie mają liberały zasadę *równouprawnienia, tolerancyi,* tylko swoim współbraciom jednéj a téj saméj narodowości, członkom jednego i tego samego Kościoła odmawiają prawa obrony spraw swoich najświętszych. Czy to się nazywa solidarność? — Kto tu zrywa solidarność, czy ci obywatele polscy, którzy jako polacy i katolicy pragną bronić i praw polskości i praw kościoła swego, czyli ci, co ich od siebie z oburzeniem odpychają, twierdząc, że obrona praw Kościoła katolickiego jest zbrodnią, bo zdradą narodowości, zamachem na polskość, Targowicą i t. d.? Liberały więc zrywają solidarność, odpychając od siebie katolików, a nie katolicy, którzy owszem ze wszystkimi razem bronią narodowości, i z wiernymi Kościoła synami bronią Kościoła. Katolików program nie sprzeciwia się narodowości, ani sposób przeprowadzenia tego programu nie grozi ze strony katolików zerwaniem solidarności, chyba w tym razie, gdy ich liberały gwałtem od siebie odepchną, jak to było przy teraźniejszych wyborach.

O cóż więc chodzi liberałom, że mimo to wszystko taką zaciętością i jadem uderzają na nas katolików? Otóż między innémi przywodzą ten powód, że ci co wystąpili, aby razem z narodowością bronić zagrożonych lub pogwałconych praw Kościoła, zowią się *duchowieństwem.* Duchowieństwo zaś nie powinno wedle nich „wkraczać w zakres polityczno-państwowy, bo działalność w sferze kościelnéj przysługuje jedynie (sic) duchowieństwu“ a już głównie dla tego, nie mogą dopuścić, aby duchowieństwo jakikolwiek miało wpływ na sprawy publiczne, że „gdyby się Kościół znalazł w rękach nieprzyjaznych naszéj narodowości, co nastąpić może z łatwością użytymby mógł być na jéj szkodę.“

To strachy na Lachy!

Najprzód, trzeba odróżnić duchowieństwo jako zwierzchność kościelną, które w takim urzędowym charakterze występuje we wszystkich kościelnych funkcyach i czynnościach, i duchowieństwo jako obywateli państwa. Duchowieństwo jako zwierzchność Kościelna nie jest „władném“ w sprawach politycznych, ani też tego pragnie, ani się o to kusi, ale duchowieństwo jako zastęp obywateli państwa ma prawo na zasadzie téj „zupełnéj równości“ (którą mu narodowcy na papierze przyznają a w praktyce odmawiają) bronić pokrzywdzonych lub zagrożonych praw swego Kościoła, tak jak każdy inny świecki katolik. Duchowieństwo też bynajmniéj nie wystąpiło z oświadczeniem swém jako zwierzchność duchowna, lecz tylko jako zastęp obywateli państwa, którzy jednomyślnie praw swoich i narodowych i kościelnych bronić pragną przez swych reprezentantów. Nie bójcie się więc panowie narodowcy, duchowieństwo ani pragnie wyrwać wam z rąk ster spraw politycznych, ani żąda dla siebie od was *przywilejów.* Chce tylko duchowieństwo dla siebie i dla wszystkich katolików tego *równouprawnienia,* téj *równości,* z któréj się chełpicie, a któréj nam odmawiacie. Żądamy od was uznania tych potrzeb sumienia naszego, nie jako przywileju, nie jakobyśmy dopiero po waszemu uznaniu prawa do tego nabyli, ale żądamy dla tego, aby właśnie nie zrywać solidarności w sprawie narodowéj. Jeżeli odrzucacie nasze słuszne żądania pod pozorem, że one są „szkodliwe dla narodowości“ dowodzicie, że umyślnie sprawę mącicie, aby tylko walczyć przeciw zasadom Kościoła katolickiego, które nie narodowości ale wolnodumcom się sprzeciwiają, — dowodzicie, że dla waszych tak zwanych wolnomyślnych zasad poświęcacie sprawę narodowości, bo odpychacie nas przez to od solidarności narodowéj, którą jak, sami twierdzicie, jesteśmy silni.

Takie jest stanowisko nasze, stanowisko jak każdy widzi, wedle tradycyi naszego narodu dla religii i dla narodowości pożyteczne; stanowisko zaś t. z. narodowców jest, jakeśmy widzieli, i dla Kościoła nieprzyjazne i dla narodowości szkodliwe. —

Ks. Lechert.

Nowy katolicysm.

Za dni naszych widzimy osobny rodzaj religii: wynaleziono nowy katolicysm. Jakież jego cechy? Katolicysm ten cierpliwy — wszystko znosi; potulny — zamyka oczy; lubi pokój — i milczy; pokorny — rad słucha; roztropny — żyje w ukryciu; sumienie każde w pokoju zostawia, umysłów nie wzrusza, na wszystko przystaje; w zakrystyi się chowa — i jeszcze mu tu za obszerne mieszkanie; w sprawy publiczne społeczeństwa nie miesza się zgoła

I u nas ta nowa religia krzewi się szczęśliwie. Głoszą ją wymównie nowi ewangelistowie, nie wzorem Apostołów Chrystusowych, co żywe słowo od miasta do miasta, wśród prześladowań i niebezpieczeństw roznosili, — jeno z poza zielonego stołu,

inkaustem i piórem i arkuszem papieru — co się gazetą zowie, kazania swe prawią — wśród wielkiego poklasku, z dobrą sławą, a jeszcze lepszą zapłatą; Drezno i Toruń i Poznań i Lwów — stolice główne nowotnego katolicyzmu.

Jakaż jego podstawa węgielna? Najpierw to: Religia niech się rzeczami niebieskiemi zabawia, do spraw ludzkich jéj nic. Potém to: Roztropność powiada, że droga pośrednia we wszystkim najpewniejsza. To dwie najsilniejsze podpory nowéj religii — potknąć się nie może.

Powtarzają wciąż: „Religia niema się mięszać do spraw świeckich społeczeństwa.“ Kto tego dziś nie mówi? Nic innego nie znaczą łamańny językowe Kronikarza poznańskiego w *Dzienniku*, który księży, sługi religii, do brewiarza nagania i do zakrystyi wpędza; — nic innego i subtelne dystynkcyje *Gazety toruńskiéj*, któréj mięszanie religii do spraw publicznych dziwnie się nie podoba.

Nie bez pożytku tedy będzie, jeśli tę monetę codzienną, zdawkową bezmyślnie powtarzanych frazesów u jednych, twierdzeń i wrzekomych zasad u drugich, weźmiemy do ręki i dobrze się jéj stęplowi przypatrzym. Pokaże się, że to pieniądz wytarty, fałszywy bez odrobiny szlachetniejszego kruszcu.

Co słyszymy? Religia niema się mięszać do spraw publicznych społeczeństwa. Rozprawmy się z sobą!

1) W pewnym sensie mogłoby to zdanie być prawdziwe — tak jak brzmi, w ogólném rozumieniu, zgoła fałszywe. Jasną to, że religia sama z siebie spraw świeckich nie ma urządzać. Religia nie tworzy praw, w sprawy wojskowe się nie wdawa, nie zarządza dochodami, nie stanowi urzędników, nie zakłada banków i giełd, nie wypowiada wojny i pokojowych traktatów nie zawiera. To się samo przez się rozumie. Ale, żeby religia nie miała się z swą siłą, zasadami swemi mięszać w te wszystkie sprawy — to fałsz wielki. Co to jest religia? Jest to suma wszystkich obowiązków naszych względem Boga. Jasną tedy, że nie obejmuje ona tylko ofiary, Sakramentów i aktów nabożeństwa — lecz także i owszem, przedewszystkiem, sprawiedliwość i uczciwość, cnoty, któremi się Bogu cześć prawdziwą wyrządza. Jakżeżby więc religia nie miała się wdawać w bieg zewnętrzny spraw spółecznych? Czyż społeczeństwo może istnieć bez sprawiedliwości, bez uczciwości, bez wierności, bez odwiecznych praw bożych? Inaczéj nie byłoby społeczeństwem ludzkiém, jéno kupą, stadem dziczyzny.

Odsuwają najpierw od polityki religią. Są co utrzymują, że ze względu na pożytki własnego kraju i na stosunki wzajemne narodów — religia niepotrzebna; lecz czyż społeczności nie są jeszcze więcéj niż pojedyńcze osoby zobowiązane rządzić się zasadami sprawiedliwości, ażeby przez to cześć Bogu oddawać? Czyż kradzież, rabunki, zabójstwa i bezbożność grzechem są, gdy je prywatne osoby i na mniejszą skalę popełniają, a cnotą, gdy ich się narody, i to na szerokie rozmiary, dopuszczą? Ktoby tedy zaprzeczyć śmiał, że religia powinna mięszać się do dyplomacyi, że międzynarodowe stosunki i układy oglądać się na nią mają? Owszem, tutaj religia tém bardziéj czuwać winna, im większe niesprawiedliwości wydarzyć się mogą, a im trudniéj je naprawić. Dla religii obojętne są zgoła przeróżne formy rządu w jakimbądź kraju — to prawda *in abstracto* rzeczy biorąc; lecz czyż nie są możebne takie zmiany i reformy, które od dawna istniejące prawa niweczą? A jeśli tak, czyż religia niema nazywać rzeczy po imieniu: n. p. kradzieży kradzieżą, lub czyżby miała poprzestać być strażniczką sprawiedliwości? Daléj, jeśli te zmiany odnoszą się nie jeno do form politycznych, lecz i do przewrotu praw czyli ustroju Kościoła, gdyby zamąciły czystość wiary i moralności: czyż i wtedy religia ma być niemym, obojętnym widzem?

Prawa wszelkie stosować się powinny do zasad sprawiedliwości, uczciwości, religii tak dalece, że gdy się im sprzeciwiają, siły i znaczenia prawa mieć nie powinny. Uznawali to i poganie. Kto chce nadać prawo bez względu na religią, ten tyranem się staje i o własny jéno dba interes, o zaspokojenie namiętności swoich. Prócz tego prawo może także z niewiadomości lub złości prawodawcy naruszyć sprawiedliwość lub religii sprzeciwiać się: komuż wtedy przystoi więcéj podnieść sprawiedliwą skargę, niż religii, która z łaski bożéj wodzem jest najwyższym i kierownikiem dla człowieka?

Sądy mniemają niekiedy, że litera prawa jest dla nich dostateczną, że bez religii wygodnie obyć się można. Ależ właśnie tu jéj najbardziéj potrzeba. Gdzież są takie prawa, któreby niezliczonych przypadków nie pozostawiały do załatwienia roztropności, dyskrecyi, sumieniu sędziów? Jeśli zaś religia nie ma silnego w ich sercach fundamentu, jakże się oprą złotu, przyjaźni, namiętności, bojaźni, zepsutości, słowem, natury ludzkiéj?

Wypędzają religią z uniwersytetów w imieniu nauki, która bez religii kwitnąć ma, a gdzież ta nauka, coby nie utwierdzana, wzmacniana religią pewne i śmiałe kroki mogła stawiać? Z wyjątkiem tego trocha empirismu w naukach przyrodniczych, — wszystkie inne z religii żyją, nie mówiąc już nic o tym, że ciężki obowiązek wykształcenia i wychowania człowieka, od nauczyciela przedewszystkiém podstawy i rękojmi głębokiéj religijności wyciąga, gdyż inaczéj nauka w truciznę się zamieni.

Nawet wojsko, które na pierwszy rzut oka, zdaje się, mogłoby się obyć bez religii, głośno jéj się domaga, bo czymże są te ogromne armie, to olbrzymie ciało bez duszy? Siłą brutalną, która raczéj zaburzenia wywołuje i podtrzymuje, aniżeli społeczeństwa broni.

Zrozumieć teraz łatwo znaczenie potępienia 56 i 57 propozycyi *Syllabusa:*

Prop. 56. *Morum leges divina haud egent sanctione, minimeque opus est, ut humanae leges ad naturae jus conformentur aut obligandi vim a Deo accipiant.*

Prop. 57. *Philosophicarum rerum morumque scientia, itemque civiles leges possunt et debent a divina et ecclesiastica auctoritate declinare.*

Religii to jest rzeczą każdemu z osobna przepisywać regułę życia, do wnętrza się sumienia wpuszczać i zachowaniem się jego na zewnątrz kierować; religia ma mieszkać w rodzinach, regulować stósunki wzajemne małżonków, rodziców do dzieci, państwa do sług i na odwrót; religia ma przemieszkiwać w sklepach kupieckich, w oberżach, w fabrykach, warsztatach; ma przechadzać się publicznie po placach, rynkach i giełdach; ma zasiadywać w towarzystwach; ma zaglądać, wdzierać się do gabinetów ministrów i dyplomatów, zasiadać na tronie królów i cesarzów — wszelkie czynności ludzkie mają stosować się do jéj zasad, przepisów. A nietylko negatywnie, nie czynić nic takiego co się z religią nie zgadza, lecz nadto pozytywnie, by żadnéj czynności nie przedsiębrać, którąby z przepisami religii nie była zgodną.

Tak a nie inaczéj, albowiem Jezus Chrystus, założyciel religii, Panem jest najwyższym wszystkich ludzi: wielkich i małych, uczonych i nieuczonych, poddanych i monarchów — dla tego, iż wszystkim bez wyjątku, bez względu na osobę, te same dał przepisy.

Gdyby religia obcą miała być sprawom spółecznym, trzebaby jedno z dwójga przypuścić: albo że człowiek prywatny złożyć ma swe sumienie, skoro sprawami publicznemi kieruje, albo że dwa ma posiadać sumienia: jedno dla spraw domowych, drugie publicznych, politycznych, obywatelskich. Czy to podobna? Wszystko dziś podobném! Czyż nie było i nie ma takich, co raz pobożne dzieła, książki nawet do nabożeństwa pisali, drugi raz pisma przeciw kardynałom i księżom ogłaszali? Czyż nie mamy takich dzienników, co oświadczają, że Kościół i Zwierzchność duchowną szanują, a wciąż szarpią urządzenia i w sprawy kościelne się mięszają? Król Wiktor Emanuel pisze listy pełne uległości synowskiéj dla Ojca św., a na najcięższe exkomuniki nie zważa.

Taka religia wygodna wielce: spaja ze sobą rzeczy najsprzeczniejsze. Godzi się z Bogiem, a djabłu świeczkę pali; uspokaja sumienie, a namiętnościom gwałtu nie czyni. Wynosi pod niebiosa prace i zasługi zakonów, a prześladuje zakonników i księży; szuka pochwały od katolików, ale nagany bezbożnych się lęka: w czasie naszym babelskiego pomięszania — wynalazek to arcyszacowny. Szkoda jéno, że w téj kompozycyi znajduje się metal, który się z innymi zlać nie chce: Jezus Chrystus powiedział: *Kto nie ze mną, ten przeciw mnie; kto ze mną nie zgromadza — rozprasza; nikt nie może dwom panom służyć.* Dadzą sobie i z tém radę! Może znaleźli sposób, że jak w siebie wmówili, iż religii nic do spraw publicznych, tak też i Jezusa Chrystusa przekonają, że się w ich sprawy wdawać nie ma!

Z tego co się rzekło, logiczny wniosek, iż mylą się ci, co

twierdzą, że duchowieństwo nie ma się mięszać do spraw politycznych; gdy się mięsza — teokracyą to zowią. Twierdzenie takie dwuznaczne, bo jeżeli o to chodzi, by duchowieństwo nie zabawiało się kontraktami, handlarstwem, spekulacyami giełdodowemi, bankami, przetwarzaniem karty europejskiéj, może całego świata — tedy radę taką wdzięcznem sercem przyjmujemy, prosząc przy tym, żeby też z łaski swojéj nie mięszali się do spraw Kościoła, na których się oni zgoła nie znają, n. p. niech się nie opiekują opozycyonistami naprzeciw Władzy duchownéj — w nicowaniu rozporządzeń Biskupich w obec podwładnego duchowieństwa, kościołów i klasztorów, niech się nie ćwiczą. Jeżeli zaś mówią, że duchowieństwu nie należy się w inny sposób zajmować sprawami publicznemi — to my się temu bardzo sprzeciwiamy. Duchowieństwo może się tak jak każdy inny wszelkiemi sprawami społecznemi sposobem naukowym zajmować, kto wie, czy nie lepiéj od innych, dla swéj znajomości teologii. Duchowieństwo wszędzie ma prawo obywatelskie, tak jak każdy inny. Duchowieństwo ma obowiązek odzywać się jako strażnik moralności, a nikt jeszcze Kościołowi nie odmówił prawa oznaczania, gdzie i kiedy moralność nadwerężona. Duchowieństwo musi mówić, albowiem kwestye polityczne, treść praw, urządzenia publiczne w społeczeństwie chrześciańskim stykają się w niezliczonych punktach z moralnością, z wiarą, z Sakramentami, z Kościołem. Duchowieństwo nietylko może, lecz i musi w wielu razach mówić, mówić głośno, gdyż od Jezusa Chrystusa przykazanie ma bronienia praw swoich i ostrzegania ludu przed błędami. Duchowieństwo musi odzywać się, muszą się odzywać jeszcze głośniéj Biskupi, jako następcy Apostołów, którzy do starszych Synagogi rzekli! *Nie możemy milczeć!* I nic nie pomogą, ani groźby, ani postrachy, ani gwałty, ani wygnania, — duchowieństwo milczeć nie może; dopóki jednego głosu stanie (a tego nie zabraknie nigdy), głos ten ku chwale Jezusa i ku obronie ludu podnosić się będzie i będzie potępiał niesprawiedliwe prawa, gwałty, zelżywości, ucisk, grabieże, macchiawelism i wszystkie czy prywatne, czy publiczne grzechy.

Jeżeli świat nie ma tyle rozumu, by pojąć, co to za bozka instytucya, która nie tknięta ni czasem, ni namiętnościami, odwieczne prawa sprawiedliwości wciąż nienaruszenie przechowuje i głosi, wszelkie błędy rozprasza — niech patrzy siebie; lecz Chrystus przeto nie zmieni się nigdy i nie osłabnie. Kto Kościoła użyć nie chce ku ratunkowi i zbawieniu swojemu — ten się ku potępieniu swojemu na nim roztrzaska.

(Dokończenie nastąpi.)

Wypadki w kościele del Gesu.

O nadużyciach jakich się motłoch uliczny i jakich policyjni słudzy w kościele del Gesu w dniach 9 i 10 b. m. mianowicie 10 dopuścili, coraz więcéj wiadomości po gazetach wszystkich odcieni znajdujemy.

W protestanckim dzienniku londyńskim *Daily Telegraph* ośmiu Anglików, między niemi protestanci, oświadczają, że 10. znajdowali się w kościele na kazaniu O. Tommasi, że mogą zaręczyć, iż w kazaniu nie było żadnych alluzyi politycznych, że kiedy po kazaniu chcieli oddalić się, zastali kościół oblężony przez kilkanastu ludzi z pałkami okutemi, którzy wyjść niedozwalali, że po niejakim czasie zjawił się w kościele P. Gadda minister robót publicznych, obecnie delegat w Rzymie z trzydziestu około policyantami, że policyanci zaczęli płazować spokojnych ludzi i aresztować na prawo i lewo, że wtedy kobiety jęły się chronić do kaplic bocznych, że niektóre zemdlały, że policyant ciął damę jednę przez twarz tak, że krew trysła, że policyanci krzycząc *Birboni* (łotry) dotarli aż do ołtarza wielkiego, gdzie ksiądz mszą odprawiał, i że im ośmiu pozwolono opuścić kościół dopiero kiedy energicznie tego jako Anglicy od pana Gaddy zażądali. Dodają, że choć wpierw nieznali się między sobą, udali się razem do ajenta dyplomatycznego Wielkiéj Brytanii i spisali zażalenie.

Ksiądz świecki, który mszą odprawiał tak opowiada przygody własne. Nazywa się Rafael Collalti.

„W piątek 10 skoro się skończyło kazanie, wyszedłem o 12 ze mszą, jak to jest w zwyczaju. W czasie mszy słyszałem w kościele wrzawę wielką i szczęk broni, co mnie przerażało, ale nie mogłem wiedzieć o co chodzi. Zdało mi się naraz, że na samych stopniach ołtarza widzę policyantów zbrojnych. Przekonałem się niebawem, że tak jest istotnie, gdym miał rozdawać Kommunią św. i odwróciłem się, aby wypowiedzieć: *Misereatur*. Policyanci uzbrojeni w karabiny, szable, trzymając pistolety w ręku odpychali tych, którzy się do stołu pańskiego garnęli. Wierni choć z płaczem i strachem nie uważali na to i cisnęli się na najwyższy stopień ołtarza. Ozwałem się wtedy do policyantów, żeby się oddalili i że jeśli tego nie uczynią, podpadną w klątwę. Potém dokończyłem mszy św. Gdym odchodził do zakrystyi niosąc kielich w ręku, pociągnął mnie za ornat policyant i oświadezył, że mnie aresztuje. Zaprowadzono mnie do osobnego pokoju, gdzie było wielu policyantów, gwardzistów narodowych i żołnierzy. Tam delegat przepasany trójkolorową szarfą powiedział mi, że mnie oskarżają o uderzenie pięścią policyanta. A kiedyż to mogło nastąpić, odrzekłem, przecież odchodząc od ołtarza, niosłem kielich, a w drugiéj ręce miałem biret. Tłomaczenie moje nic nie pomogło. Kazali mi zdjąć ornat, niechciałem dopókiby nie przyszedł przełozony kościoła, abym mógł w jego obecności zaprotestować. Naówczas jeden gwardzista narodowy zawołał: Zwiążmy go i ponieśmy, będzie wyglądał jak poliszynel. Inni chcieli, aby mi ręce spętać, a jeden zawołał, że on spętą i papieża samego i że go będzie na pośmiewisko po Rzymie włóczył. Nadszedł tymczasem zakonnik i dał mi radę, aby się nie opierać. Zdjąłem tedy ubiór mszalny i zaraz wsadzono mnie do powozu i zawieziono na Monte Citorio. Tam musiałem czekać trzy godziny, zanim mnie dopuszczono do pana Berti. Pan Berti powiedział mi, że jestem oskarżony, iżem lud do oporu podburzał. Opowiedziałem mu co i jak zaszło. Niechciał wierzyć, żem słyszał takie niegodziwe wyrazy na Ojca św. Zaręczyłem mu, że rozpoznam karabiniera, który je wymówił. Kazano mi jeszcze czekać pół godziny, a potém puszczono."

Na posiedzeniu izby florenckiéj w dniu 13 b. m. sprawę o te zgiełki wytoczył P. Marchetti. Deputowany ten zarzucił rządowi, że mimo gwałtów jakie zaszły były w kościele del Gesu dnia 9 marca, a więc dzień pierwéj, nowe nieporządki znalazły władzę policyjną nieprzygotowaną. Pan Marchetti, który należy do obozu nieprzychylnego Kościołowi i Ojcu św. wspomniał:

„że Rzym znajduje się w stanie przejścia," dalej, że wielu liberałów niespokojnych jest o przyszłość, w końcu, że trzeba zaradzić jak najspiesznićj, aby się nie ponawiały sceny, które kolejnie dotykają tych, co kochają Rzym i kochają Włochy."

Prezes Ministerstwa pan Lanza tak odpowiedział:

„Aby odpowiedzieć na interperllacyą, muszę przedstawić fakta w całości, a wtenczas Izba osądzi. Wyzwania do początkowych nieporządków wyszły ze ślepéj i buntowniczéj niewstrzemięźliwości pewnéj liczby księży, którzy zamiast coby mieli utrzymywać honor ambony i obwieszczać słowa prawdy i Ewangelii, jęli folgować swoim niechęciom politycznym, powstawać na nowy porządek szczęśliwie zaprowadzony, potwarzać ustawy krajowe, i to jeszcze drwiny do napaści dodając. To oczywiście rozjątrzyło większość liberalną w Rzymie, i oto jak przyszło do zajść w kościele Jezuitów. Pierwsze starcia nie miały wielkiéj wagi, zawsze jednak władze miejscowe przedsięwzięły zaraz wszelkie środki ostrożności. Od kilku dni kaznodzieja tego kościoła powstrzymał się od alluzyi politycznych. Tymczasem pewnego poranku w czasie kazania zjawił się tam człowiek jakiś, i zdało się przytomnym, że nie zachowuje się tak jak na świętość miejsca przystało. Zaczęto mu czynić wymówki, przyszło do zwady, po słowach nastąpiły czyny i w końcu musiała straż bezpieczeństwa pospieszyć na miejsce, aby przywrócić porządek. Tego dnia nie zaszło nic ważniejszego. Łatwo jednak było przewidzieć, że się na tém nie skończy; to téż władza przysposobiła środki ostrożności. Muszę przyznać, że kaznodzieja nie uczynił żadnéj prowokacyi, cóżkolwiekbądź wybuchły wielkie nieporządki. Przy wyjściu z kościoła osoby należęce do stronnictwa przeciwnego ideom wolności zaczęły wyzywająco odzywać się do stojących zewnątrz, a ci ostatni nie chcieli znieść téj obrazy (*głosy: to falsz*). Łatwo pojąć, że bójka zaraz się rozpoczęła i zebrało się w krótkim czasie mnóstwo ludzi na tym punkcie. Niebawem nadbiegły straż bezpieczeństwa, gwardya narodowa i wojsko, co pokazuje, że władze czuwały. Tu

zdarzył się wypadek bardzo nieprzyjemny (*natężona uwaga*). Podczas kiedy zewnątrz kościoła policya i wojsko przywracali porządek, ksiądz odprawiający mszą w kościele odwrócił się do policyantów i zelżył ich wyrazami jakich tu powtórzyć niepodobna. Policyanci chcieli uspokoić księdza, ale gdy im się to nie powiodło musieli go zaaresztować. Aresztowano i inne osoby i tak przywrócono porządek. Co się tyczy księdza, zawieziono go do kwestury, a tam skoro się przekonano, że to wcale niestraszny przeciwnik (*śmiech*) napomniano go i wypuszczono. Oto są fakta. Z prostego ich przedstawienia wypływa, że odpowiedzialność za nieporządki spada na nieprzyjaciół sprawy narodowéj, którzy korzystają z każdéj sposobności, aby wypadkom nadać barwę korzystną dla sprawy własnéj, dziś straconéj na zawsze. Nie łudźmy się i nie zakrywajmy prawdy, z powodu przeszłości swojéj dla teraźniejszości swojéj, a nawet ze względu na przyszłość. Rzym to nie Medyolan albo Florencya. Naprzeciw siebie mamy tam nieprzyjaciela, który choć przyparty do ściany, szafuje ostatkami oburzenia z niemocy. Wszakże rząd czuwa i obowiązków swoich nie zaniedba."

Taką to prawdę wypowiadają w parlamencie włoskim. My ubliżylibyśmy czytelnikom naszym, gdybyśmy im w szczegółach matactwa i przemilczenia pana Lanzy wykazywać chcieli. Kłamstwo bije tam w oczy.

Pan Lenzi wracający z Rzymu zaprzeczył prezesowi ministerstwa i zaręczył, że rzeczy inaczéj się miały, ale pomimo że się po kilkakroć i natarczywie o głos domagał, nie dopuszczono go do słowa.

Tymczasem wspólnik nieprawości włoskich, bo wspólnikiem jest, kto rozmyślnie zataja i zakrywa niegodziwość — *Dziennik poznański*, tak w Numerze swoim 70 o téj całéj sprawie nadmienia:

„Wedle korespondenta *Kölnische Zeitung* musiał *Osservatore romano* przedstawić siebie znowu w obec publiczności jako kłamca. W sprawozdaniu bowiem swojem, pełnem fałszów o skandalu w kościele Jezuickim, zaręczał, że uwięziony przytem w dniu 10 b. m. ksiądz Collalti, był na kwesturze zamknięty przez 48 godzin bez pożywienia. Wczoraj oświadczył, że owe 48 jest błędem drukarskim, że ma być 20, lecz zarazem ogłosił pismo kwestora przedstawiające prawdziwy przebieg rzeczy, wedle którego Collalti już po upływie jednéj godziny i pół po aresztowaniu, znowu z więzienia wypuszczony został."

Czy w ten sposób czytelnicy *Dziennika* mogą się prawdy dowiedzieć? Na to niech odpowie każdy, kto niezaślepiony namiętnością stronniczą.

Niepokój u Włochów.

L'Unita cattolica z 16 marca ogłasza artykuł p. t. *Niepokój u Włochów* i daje mu za godła wyrazy P. Marchetti: „Wielu liberałów niespokojnych jest o przyszłość," i następujące wyrazy P. Thiers wyrzeczone 10 marca w Bordeaux: „Trzeba nam także zająć się Europą niepokojoną widokiem zdarzeń, przeciw którym zbyt nieśmiało oddziaływać próbowała (*oklaski*)." Oto artykuł pisma turyńskiego:

W ten sam dzień i może w téj saméj chwili, kiedy w Rzymie okładano katolików kijami na placu del Gesu, a w kościele Jezuitów aresztowano księdza co mszą odprawiał, Adolf Thiers miał mowę do zgromadzenia francuzkiego i wykazywał konieczność przywrócenia porządku we Francyi, przyczém dodał, że „należy także zająć się Europą niepokojoną widokiem zdarzeń, przeciw którym dotąd zbyt nieśmiało oddziaływano. I dodajemy, że izba te wyrazy silnemi przyjęła oklaskami. Każdy rozumiał, że widok o jakim napotykał Thiers, to był widok tego, co zaszło w Rzymie 20 Września 1870 „widok który zasmucił i poruszył, a i do téj chwili porusza cały świat katolicki." Zajęciu Rzymu nie przyklasnęły mocarstwa europejskie ale jałowe zastrzeżenia o jakich się dowiadujemy z księgi zielonéj pana Visconti Venosta uczynione zostały zbyt nieśmiało (d'une main trop reservée).

Pierwsze to odezwanie się pana Thiersa, a słowa jego są jeszcze niezmiernie umiarkowane i jakoby przesłonione, oczywiście wstrzymuje się od groźb niepotrzebnych, kiedy ich poprzeć niemoże dla braku czasu, sposobności i środków. Na kilka dni pierwéj dziennik paryski *le Temps* nazwał był zajęcie Rzymu „kolcem, który sobie Włochy wbiły w ciało w czasie klęsk francuzkich." Niepodobna, żeby Francya prędzéj lub późniéj nie pokazała oburzenia swojego. I inne mocarstwa czy katolickie czy nie katolickie, skoro tylko będą chciały gniewać się na nas, żenować się nie będą. Dzisiejsi to ministrowie doprowadzili ojczyznę naszą do tego nędznego położenia, że każdy rząd obcy ma na podorędziu *casus belli* przeciw Włochom i nie będzie potrzebował czepiać się kandydatury jakiego Hohenzollerna.

I stało się, że 13 marca deputowany Marchetti wspomniał w izbie o niespokojności co do przyszłych losów Włochów. Cóż na to Pan Lanza? „Jak to, zawołał, niespokojni jesteście o przyszłość? Ja to wyrażenie uważam za niepewne i mało znaczące." I dalejże bałamucić, że ta niespokojność odnosi się do przeniesienia stolicy i zaręczać, że wszystkie przygotowania postępują jak najpomyślniéj.

Ależ Pan Lanza wie dobrze, że panu Marchetti nie o to chodziło. Stolicę przeniesiecie, czy dla tego niespokojność ustąpi? Nie tylko nie ustąpi lecz się wzmoże, albowiem rodzi się ona z pobudek moralnych. Ten kto popełnił czyny pewnego rodzaju nie może zachować spokoju w umyśle. Niespokojność trwa i trwać będzie, bo nieprzyjaciele papieża źle sobie poczynają, bo pokój zawarty, bo Francya chce wrócić na drogę swoich podań, bo Europa namyśla się co zrobić, bo nasz skarb w najgorszym stanie, bo lud włoski czuje się nieszczęśliwym, bo rządzą nami ludzie bez rozumu.

Niespokojność jest powszechna. Doznają jéj ministrowie i deputowani, prawica i lewica w parlamencie. Oprócz Piusa IX. i tych co z nim trzymają, niema serc spokojnych we Włoszech. Wszyscy obawiają się gniewu Bożego i gniewu ludzi, wszyscy przewidują rozruchy, rozdwojenia, wojny, jednem słowem przekleństwa zapowiedziane każdemu kto rani serce ojca swojego.

Nasza czeladź rzemieślnicza.

I.

Kto zna miasta i miasteczka nasze i mieszkańców ich, kto zaglądał do warsztatów i patrzał na tych, którzy tam pracują, wie, że usposobienie religijne naszych rzemieślników mianowicie w większych miasteczkach, a potem położenie ich materyalne w małych, nie jest osobliwe. Nasz rzemieślnik żyje często niemoralnie, a po większéj części biedę cierpi.

Co temu winno? Brak wychowania, brak wykształcenia tak umysłowego, jak fachowego, brak zachęty do doskonalenia się w swym zawodzie, brak ufności w swoją pracę, brak zaradności i brak pamięci na jutro i na przyszłość.

Pominąwszy majstrów, o czeladzi saméj wiadomo, że jeśli nie pracuje, co się nie rzadko zdarza, to wędruje, żebrze często, ale przytém hula i życie gorszące prowadzi.

Trzy do pięciu lat uczy się chłopak rzemiosła swego. I co robi? Pierwszy rok i dłużéj posługuje majstrowi po domu, — donosi czeladzi wódkę, uczy się oszukiwać, popisuje się z dowcipami, chodzi na posyłki, bierze łapowe przy odstawianiu roboty, a resztę, co mu czasu zbędzie, przy warsztacie siedzi. Tedy owedy odbierze kułaka i tym trybem przechodzą mu lata terminowania, — czas wyzwolenia się zbliży. Jako tako nauczywszy się partaczyć w swém rzemiośle, robi „sztukę czeladniczą" i ku wielkiemu zadowolnieniu swojemu i uciesze starszych kolegów przyszłych i panów majstrów cechowych, zostaje czeladnikiem. Jako dowód, że umie korzystać ze swéj wolności, upija się bodaj czy dopiero po raz pierwszy w dniu dla siebie tak ważnym na stypie, którą kosztem swojim daje i majstrom egzaminatorom i kolegom. — Staje się odtąd niezależnym o tyle, że może pracować u kogo zechce, iść w chwili wolnéj, dokąd mu się podoba. Majster, u którego zostaje w obowiązkach, daje mu jeść i cztery do sześciu złotych tygodniowo za robotę wynagrodzenia. Pieniądze te odbiera z reguły w niedzielę. Dzień to odpoczynku i sposobność do zabawienia się ze znajomemi. Jeśli ma pobożności trochę w sercu wpojonéj z dzieciństwa, święci dzień święty tak jak inni: idzie do kościoła na sumę, po sumie na nieszpory, ale z resztą dnia co ma począć i wieczorem całym? Szuka zabawy. Gdzie? Wstępuje do szynkowni na kieliszek wódki, siada sobie za stołem do kart za przykładem starszych towarzyszów.

— Pierwszy krok najtrudniéjszy, następne tygodnie i miesiące spędza podobnie i ani się nie spostrzeże, aż zabałamuci się za długo w nocy, wróci do domu nad ranem, — upije się, zegra i nie dziwi się sobie, bo tego i owego z jego kolegów spotyka częściéj podobny przypadek.

Jeśli się wśród tygodnia trochę nad sobą zastanowi, sumienie czyni mu wyrzuty, — może uboga matka, lub opiekun upomną, ale skoro nadejdzie znowu dzień wolny, przekonuje się, że dokądsiś iść mu przecież trzeba koniecznie. Najprostsza droga tam, — gdzie bywał już wprzód, zresztą choćby myślał i myślał, nie wymyśli dla siebie innéj zabawy i towarzystwa.

Kontynuuje więc to życie dotychczasowe i żyje niém rok, dwa, lub dłużéj. Zarwie tedy owedy przy hulance poniedziałku trochę, lub cały dzień, a z tego w naturalnym następstwie wypadnie, że zmuszony jest kończyć robotę swą w niedzielę zrazu do 10 rano, późniéj do południa. Do kościoła iść nie zdąży, z czasem tak mu się jakoś tydzień po tygodniu układać pocznie, że właśnie zawsze w niedzielę miewa coś ważnego do dokończenia we warsztacie; — od nabożeństwa odwyknie, pacierz rano i wieczorem mówić przestanie, od spowiedzi stronić pocznie, a natomiast w szynkowni kończy swe wychowanie brudne i dochodzi do pewnéj doskonałości w rozprawianiu z lekceważeniem o wszystkich rzeczach na świecie, o religii, o kobietach, romansach, o żonie swéj przyszłéj i t. d. Byłby pośledniejszy, tak sobie myśli, od innych, żeby sobie nie miał upatrzyć jakiéj dziewczyny i módz się zalecać do niéj. Widują się często, wdzięczą się sobie nawzajem, on ją prowadza na bale, tańczy z nią, a ona wieczorem wystaje z nim w sieni, podaje przysmaki i resztki z obiadów, jakie jéj zostają ze stołu państwu, u którego służy. Takie nie zawsze niewinne gruchanie trwa rok, dwa, — pary się czasem zmieniają, on wybiera sobie inną, ona innego, ale młodzieniec romansuje, i tak w dwudziestym, w dwudziestym pierwszym, drugim, lub piątym roku dochodzi w swych życzeniach tak daleko, że zostaje mężem żony, majstrem i zaczyna, jak, to mówią, na swoje.

Jaki czeladnik, taki majster. Rzemiosła swego nie wyuczył się doskonale, z miasteczka rodzinnego nie wychylił głowy, nigdzie nie nabył doświadczenia, lichą płacę zarobkową pobierał jako czeladnik, nie wiele lepszéj może się spodziewać jako majster.

Z początku jednakowoż powodzi mu się jako tako: — młode siły, żona też pracuje, — co się zarobi, to się spotrzebuje. Gorsze nastają czasy, jak się zwali jedno, dwoje, z pół tuzina dzieci, wtedy bieda. Mąż choćby nie był pijakiem i marnotrawcą i choć się mozoli, starczyć na wydatki domowe nie może. Narzeka tedy na żonę, ona na niego, — aby zapić kłopot, przy żadnéj okazyi czy to przy niedzieli, czy targu, jarmarku lub innéj konsolacyi nie ominie szynkowni, — przyjdzie do domu żonę bije, a dzieci zamiast dobrego przykładu rodzicielskiego, patrzą na zgorszenie, słyszą kłótnie i przekleństwa. — Nędza, pijatyka, to siostry chorób, — biedak przeziębi się, dostanie suchot, zapalenia i w 30, lub najdaléj w 40 roku życia swego schodzi z tego świata, a pozostawia po sobie „kupkę“ dzieci bez majątku i utrzymania, ciężarem miastu i mieszkańcom jego. — Sieroty podobne obierają wychowanie, jak ojciec nieboszczyk.

Takie są smutne dzieje naszych rzemieślników w małych miastach, mamy też i wyjątki pojedyńcze, jednostki lepsze, ale rzadko

Gorzéj jest jeszcze w większych miastach. Tam bezbożność i niemoralność jest jeszcze bardziéj zastraszającą. Tam często majster i czeladnik żyją bez Boga i starają się przewyższyć siebie we występku nawzajem, — jedyném ich pragnieniem jest najłatwiejszy czy godziwy, czy mniéj godziwy sposób zarobku. Tam protestantyzm lekceważący wszystko, co święte u katolika, tam racyonalizm wciskający się do duszy młodego najróżnorodniejszemi sposobami, tam materyalizm wpajany od dziecka działają jeszcze zgubniéj. — Nauczycielami złego naszych rzemieślników są po części miasta niemieckie. W podróży, na wędrówce, lub jako żołnierz młody rzemieślnik przyucza się do sposobu życia w wielkich miastach w Niemczech. Patrzy na to, co brudne, i czyni, co bezecne wabi w lokalach i ogrodach publicznych i kiedy po kilku latach do gniazda rodzinnego powróci, nic naturalniejszego, jak że popiera propagandę złego. Chwali, co widział, opowiada, rozciekawia, wynosi pod niebiosa, co brzydkiém i szkodliwém jest, a natomiast mało ceni pobożność i praktyki religijne, uważa je za niepotrzebne, może nawet drwi sobie z nich świętokradzko. Ztąd też po miastach naszych dość częste są nocne burdy i orgie bezwstydne, we dnie i w nocy szynki pełne i ci, coby przy kierunku odpowiednim wychować się mogli z pożytkiem dla siebie, dla rodziny i ogółu, giną i marnują się, — wstręt do siebie obudzają, są hańbą dla społeczeństwa, z którego wyśli i wstydem dla religii i narodowości téj, do jakiéj należą. Przyznać trzeba, że nie ma przykładów, aby było wielu odstępców od narodowości, lecz cóż po takich Polakach i katolikach, których cała smutna zasługa ogranicza się na gardłowaniu przy wódce, lub na bijatyce z innéj narodowości kolegami? —

Że tak nie dobrze jest między rzemieślniczą młodzieżą u nas, dziwićby się, powie kto, nie trzeba, bo młodość ma tak wiele skłonności do złego, bo zaspokojenie namiętności i uciechy rozkoszne tak są nęcące, bo iść za popędem zepsutéj natury jest łatwiéj o wiele, aniżeli przezwyciężyć siebie, aniżeli jąć się wykształcenia woli, rozumu i serca swego. Ta młodzież tymczasem tak mało ma zachęty, tak mało przyjaciół, coby jéj *bezpośrednio* pomagali do dążenia wznioślejszego, — dla niéj nie ma najczęściéj miłosierdzia chrześcijańskiego, jest bez przewodnika, coby z *przywiązania* do niéj zajmować się nią chciał i prowadzić *umiejętnie* do cnoty, — ona ztrudna znajduje opiekuna, coby zamiast złéj zabawy, dał pożyteczną, a przynajmniéj nie grzeszną, zamiast kieliszka, dał książkę, zamiast zgorszenia, dał naukę zbawienną. —

Tak z nie wielu wyjątkami jest u nas, gdzieindziéj położenie moralne rzemieślniczych klas podobno jest jeszcze opłakańsze — ale choćby rzeczywiście w Nemczech, Anglii, Francyi gorzéj było we fabrykach i w warsztatach, aniżeli u nas, toć ta okoliczność nie uniewinnia wcale ludzi uczciwych i myślących od obowiązku, aby radzili i szczerze o biedzie własnéj. — *Ks. H. W. B.*

(C. d. n.)

Recenzyje i krytyki.

I.

Ks. Józef Szpaderski.

O

zasadach wymowy, mianowicie kaznodziejskiéj.

Tom I.

Zasady wymowy (odczyty akademickie).

Kraków. Czcionkami K. Budweisera. 1870.

(Dokończenie.)

Czytaliśmy już w odczycie III. i IV. o wymowie w ogóle a w szczególe o retoryce t. zw. świętéj. Teraz znowu w odczycie VIII. przychodzi rzecz o retoryce, jéj postaciach. Odczyt IX. Postacie myśli. Odczyt X. Postacie stylu szczytnego. Na początku VIII. odczytu zamierzył autor jak się zdaje podać nam źródła retoryki. Niestety, zbył nas tu zbyt krótko i pobieżnie. Wspomina Cycerona de oratore lib. 3. Kwintyliana Institutiones oratoriae 1. 12., Hugona Blair, Rollina i Longina traktat o szczytności. Być może, że autor nie używał innych dzieł, ale wypadało podać ich więcéj, aby młodzież mianowicie, zachęcona dziełem ks. Szpaderskiego, mogła daléj się kształcić sama. Pierwszy to atoli raz w życiu spotykamy, w miniaturowéj zresztą bibliografii, zapisaną własną pracę wychodzącą dopiero na świat, i sądzimy, że napisawszy już przedmowę o 11 stronach, można było tę całą końcową wzmiankę o swéj pracy (str. 52) całkowicie opuścić, a tém mniéj wyrażać przekonanie, że czytelnicy znajdą w niéj „karm zdrową i silną dla umysłu i serca swego.“ Nie wątpimy, że autorowi są znane 3 prace Schleinigera (Grundzüge, Predigtamt, Die Bildung des jungen Predigers), ale trzeba go było koniecznie wymienić tutaj. Rownież trzeba było gorąco polecić znakomitą pracę G. Pureberla: „Die körperliche Beredsamkeit des katholischen Christuspredigers“ Salzburg 1822 ed. 3, która i autorowi byłaby znakomite oddała przysługi, mianowicie w tém miejscu, gdzie o głosie (p. 215) i o gestach mówi (p. 220).

Z polskich autorów, którzyby o wymowie kaznodziejskiéj pisali nie wielu wprawdzie wymienić można, warto było atoli polecić młodzieży „Trzy listy“ ks. H. Kajsiewicza, drukowane kiedyś w *Tygodniku katolickim*, a wydane potém w osobnéj odbitce; niemniéj należało zwrócić uwagę na piękną rozprawę ks. Goliana o wymowie kaznodziejskiéj, w któréj mianowicie wspaniale uwzględniony stosunek wymowy chrześciańskiéj do pogańskiéj — o czém niestety, ks. Szpaderski ledwo słówkiem potrącił. Pod tym ostatnim względem ważne byłyby mu oddały usługi dzieła: P. van Meusde „de antiqua eloquentia cum recentiore comparata.“ Utr. 1805 i G. D. Köhlera „Vergleichung der alten und neuen Redekunst.“ Lemg. 1785.

O pojedyńcze określenia postaci (figur) retorycznych zawadzać nie możemy, boby nas to zawiodło zbyt daleko, dodamy tylko, że 3 te rozdziały są dosyć starannie opracowane, a objaśniające przykłady są dosyć szczęśliwie dobierane, — ale że w nich najmniejszego nie ma rozkładu, o tém moglibyśmy autora łatwo przekonać. Mówiąc o postaciach (figurach) musiał mówić o stylu, aby módz rozgatunkować figury retoryczne wedle rodzai stylu, i to się autorowi chwali; ale — jakeśmy to już zauważyli wyżéj — trzeba było skończyć tutaj ze stylem i powiedzieć wszystko, co się powiedzieć chciało dopiero późniéj o stylu (odcz. XIV. i o stylu figurycznym odcz. XV.) Tymczasem ni ztąd ni zowąd mamy poprzednio w odczycie XI. rzecz o Poezyi, smaku wykształconym (odcz. XII.) i o mowie ojczystéj (odcz. XIII.) Zresztą co się tyczy definicyi w ogóle a w szczególe definicyi poezyi, to autor nie zadał sobie pracy i trudu wcale. — Powiedzieliśmy wyżéj, że na definicyi wymowy zbywa całéj pracy niniejszéj, a tymczasem czytamy na początku odczytu XI. (p. 75) że „Poezya jest wymową, jak wymowa jest téż poezyą. Samą one różnią się formą. Jedna i druga kuszą się podnieść duszę człowieka do zamiłowania ideału dobra, piękności cnoty, których ogniskiem Bóg.“ Otóż na to odpowiedzieć nam wypada, że jedno i drugie rozróżniać trzeba, bo poezya nie jest to samo co wymowa, ani ta tu — tém, czém tamta. Ani one téż obie nie kuszą się o podniesienie duszy człowieka do zamiłowania piękna, tylko to podnoszenie właśnie stanowi ich istotę, bo jak mówi Arystoteles: mówca „δεῖ δύνασθαι πείθειν.“ Z drugiéj strony może być mówca poetą a poeta mówcą, ale wymowa zawsze zostać musi wymową. Poezya zaś jest to mowa ludzka spotęgowana do szczytu sztuki, przyczém forma jest zupełnie obojętną rzeczą. Autor powiada (p. 76) „poezya oznacza mowę natchnienia, mowę duszy rozrzewnionéj, serca wezbranego uczuciem, mowę bogów, jak zwała starożytność.“ Wszystko to ma służyć do wyjaśnienia pojęcia poezyi, ale go rzeczywiście nie wyjaśnia.

Pisząc się na to co autor mówi, że poezya wielce się przyczynia do ukształcenia mówcy, i razem ze sztukami innemi przyczynia się do wyrobienia w nim smaku, znowu zaczepić musimy to, co napisał o *smaku wykształconym* (odczyt XII.) „Oznaczyć, powiada autor (p. 81) na czém smak estetyczny zależy, lub przepisać mu prawidła tak trudno, a prawie niepodobna, jak oznaczyć w czém prawdziwie leży piękno. Włosek jeden porwie i pochwyci miłośnika, a on sam z tego czaru sprawy sobie zdać nie umie.“ A trochę niżéj mówi autor o smaku wykształconym że „jest to wielka jakaś i nie do uwierzenia siła natury; jest to instynktowe poczucie piękna.“ Na nic z tego wszystkiego pisać się nie możemy.

Że smak estetyczny w ogóle jest poczuciem wrodzoném, to prawda, ale nie u każdego: bo wielu ludzi nie ma najmniejszego poczucia piękna. Ale o tém autor przepomniał nam powiedzieć, że smak wykształcony nie jest to już instynktowe poczucie piękna, jedno wiedza nabyta nauką i przypatrywaniem się sztukom pięknym. Jakiego zaś piękna smak estetyczny we „włosku jednym“ dopatrzeć się może, tego nie pojmujemy, chociaż autor tutaj zacytował miejsce z Pieśni nad pieśniami (in uno crine colli tui) — co innego jest bowiem miłośnik a co innego lubownik resp. znawca sztuk pięknych.

W odczycie XIII. p. t. Mowa ojczysta, jest więcéj znowu mowy o stylu i różnych rodzajach myśli i wyrażenia, jak o rzeczy saméj, tak, że ktoby nie znał całego dzieła, wedle napisów i spisu doszukać się niczego tu nie może. O odczycie XIV. i XV. jużeśmy kilka razy wspominali. Nadmienić tu tylko wypada, że coraz częstsze cytaty uprzyjemniają czytanie i że w ogóle autor starannie ich dobierał. Nie możemy go jednakże nie zaczepić o to, co mówi pod koniec XV. odczytu, gdzie podnosząc zasługę Trentowskiego, że „w swojéj Myślini i Chowannie spolszczając termina filozofii niemieckiéj i scholastycznéj, wielką zrobił przysługę dla filozofii narodowéj, jeżeli ta na pasku średniowieszczyzny lub niemczyzny kiedyś poruszać się i chodzić nie będzie. Płytkie głowy szykanowały to, co pierwszym i śmiałem było krokiem i za co wdzięczność się mu należy.“ Być może że i my do płytkich głów się liczyć musimy, — ale w terminologii Trentowskiego zasmakować trochę trudno, tém więcéj, że mamy niejedne wyrażenia starsze i lepsze, które Trentowski zastąpił nowemi, świeżo ukutemi. Co zaś do owego „paska średniowieczczyzny, to trzeba zwrócić autorowi uwagę na to że właśnie do téj średniowieczczyzny scholastycznéj zwrot we filozofii najnowszéj jest bardzo mocny — a my tylko cieszyć się z tego możemy.

W odczycie XVI. podaje autor sposoby nabycia dobrego stylu i mówi w dalszym ciągu o szczytności, w następnych dwóch mówi o moralnem ukształceniu mówcy (odczyt XVII.) i powadze jego (odczyt XVIII.) Byłoby może lepiéj gdyby były oba te odczyty następowały zaraz tam, gdzie była mowa o naukowém wykształceniu mówcy i wysokim urzędzie jego (odcz. IV—VI.) ale, — jakżeśmy to już powiedzieli, — szan. autor nie wiąże się żadnym rozkładem.

Odczyt XIX nosi tytuł: „Zasady wymowy kaznodziejskiéj“ — i rozpoczyna się od słów (p. 130): „Dziś dopiero właściwie przechodzimy na pole wymowy. Wszystko, cośmy dotychczas powiedzieli, było niejako wstępem, przygotowaniem.“ Sądziliśmy doprawdy, że to cośmy dotąd czytali tyczyło się wymowy, a mianowicie przyborem potrzebnym każdemu, kto chce na mówcę się wyrobić Tak też to niewątpliwie pojmował sam autor, tylko że myśl ta nie dosyć jasno przebija się w całém dziele. Gdyby był szan. autor poszedł np. za przykładem M. Schleinigera, byłby w pierwszéj téj części mówił o wymowie w ogóle i o tem co podobne do wykształcenia się na mówcę, a drugą część byłby już wyłącznie poświęcił wymowie kaznodziejskiéj. Sam tytuł z resztą dzieła zdawał się na to naprowadzać, a przecież tytuł dzieła nie dla ozdoby się tylko daje. Zresztą samże odczyt XIX. noszący tak obszerny napis: „Zasady wymowy kaznodziejskiéj przynosi nam, acz późno nieco, rozkład całego dzieła. „Wedle szkół dawnych,“ powiada autor (p. 130), uważamy zasady wymowy w trzech działach: wynalezienie, uporządkowanie, pisanie i prawienie. Czwarty dział obejmie szczególne gatunki kazań i mów religijnych, podając właściwe im prawidła. Tym więc sposobem czwarty ten dział (p. 205—329) przedstawia dla nas największy i najpraktyczniejszy interes, jemu téż jeszcze poświęcim kilka uwag. — wspomnimy tylko mimochodem, że dział III. (odczyty 27, 28 i 29) traktujący o pisaniu kazań, prawieniu kazań i poruszeniu ciała, jest wprawdzie nieco skąpy, ale wcale ładnie opracowany. Powtarzamy, że cały ten dział jest nieco skąpy, bo np. w Teologii pasterskiéj ks. Krukowskiego znachodzimy rzeczy te daleko gruntowniéj, obszerniéj i jaśniéj opracowane, chociaż to dzieło nie jest wyłącznie wymowie i jéj zasadom poświęcone. W ogóle część II. dzieła ks. Krukowskiego którą poświęcił zasadom kaznodziejstwa, zyskuje nadzwyczaj przez porównanie z dziełem ks. Szpaderskiego. Jest tam mianowicie to, czegobyś w książce niniejszéj daremnie szukał: ład i przejrzystość znakomita.*)

Wracamy do działu czwartego, gdzie mowa o szczególnych gatunkach kazań. Jak mało i tutaj szan. autor wiązał się systematycznym jakimśkolwiek rozkładem, mógł czytelnik zauważyć już wyżéj, tam gdzieśmy wymienili wszystkie gatunki kazań przezeń poruszone. Wspomnieliśmy tam, że gatunków wprawdzie jest tu wiele, bo aż 19, ale mimo to nie wszystkie. I nie mogło téż być inaczéj. Inni, którzy już przed ks. Szpaderskim o tem pisali, radzili sobie w ten sposób, że podzielili kazania

*) Dziwna rzecz: X. Szpaderski w *Przeglądzie katol.* rozbiera własne swe dzieło o Wymowie, i *Teologią paster.* X. Krukowskiego. Książkę swoję zachwala śmiało, nawet cytuje listy (bodaj X. Serwatowskiego) rażące przesadnemi pochwałami, zaś dzieło X. Krukowskiego karci surowo, bezwzględnie, i o brak ładu i porządku posądza. Po prostu sieczka nazywa. Nowy to całkim zaiste sposób — reklamy! (Red. *Tyg. katol.)*

na dwa wielkie działy i to, pod względem treści i pod względem formy. Do pierwszego działu zaliczyli najprzód kazania wedle względów wewnętrznych: dogmatyczne, moralne, na świętych, historyczne i liturgiczne, i powtóre zaliczyli tu kazania wedle względów zewnętrznych: tj. rozmaite przygodne. Pod względem formy zaś rozróżnić wtedy pozostaje trzy gatunki kazań, tj. kazanie właściwe, homilia i katecheza. Podział ten wydaje nam się z wielu względów praktycznym. Lepszym prawie jeszcze jest podział ks. Krukowskiego, który dzieli kazania 1. pod względem przedmiotu, 2. pod względem zamiaru, 3. ze względu na nas, 4. ze względu na słuchaczów. — Nasz szan. autor inną poszedł drogą. Rzucił nam kilkanaście gatunków kazań, bez logicznego z sobą powiązania i w końcu dodał odczyty o katechizacych, ztąd moglibyśmy kilka gatunków przypomnieć jeszcze autorowi i poprosić aby i o nich cośkolwiek jeszcze powiedział. A nadto pojedyńcze te gatunki mogłyby się o niejedne jeszcze upomnieć u autora. Weźmy n. p. kazania i mowy pogrzebowe. (p. 248—252). Jest tu tego i owego potrochu, ale doprawdy: nie wieleśmy to nowego znaleźli. Inaczej zupełnie postąpił w téj mierze ks. Krukowski n. p. Podaje naprzód w osobnym paragrafie co są pośmiertne panegiryki i kazania pogrzebowe, ich początek i pożytki, następnie mówi o trudnościach w tych kazaniach i rozbiera potém w następnych dwóch paragrafach, co i jak powiedzieć, jeśli zmarły był godzien pochwały i jeśli nie ma co na nim chwalić. W końcu dopiero daje w osobnym paragrafie najogólniejsze uwagi o kazaniach pogrzebowych. Co jest atoli nieocenione w książce ks. Krukowskiego, a czego nigdzie ks. Szpaderski nie daje, to źródła do każdego gatunku kazań z podaniem miejsca druku itd.

Ostatnie cztéry odczyty o katechizacyach autor opracował dosyć starannie, chociaż nie dosyć wyczerpnął przedmiot tyle obszerny. Przykłady przezeń podane bodajby kogo na katechetę wyrobić zdołały. Tak n. p. mówiąc o jasności w wyrażeniu (p. 282.) autor daje próbę pytań, któréj początek przytaczamy: „K. Czy widziałeś jak grzebią umarłego? U. Widziałem już wiele razy. K. Czy on tam w zimnym grobie zostaje? U. Tak zostaje tam, przysypany ziemią. K. A w niebie go niema? U. Jest w niebie jeżeli żył dobrze.“ itd. — Otóż mniemamy, że pytania, jeśli mają być wedle sokratesowéj τέχνη ναωική stawiane, winny w logicznym związku jedne z drugich płynąć. A tutaj, skoczył autor z grobu do nieba i założylibyśmy się z nim, że żadne dziecko nie odpowiedziałoby mu na razie tak jak sobie życzył. Jeśli bowiem katechata mówił o tém, że umarły przysypany ziemią jest w grobie, to powinien był dopiero dedukcyą pośrednią naprowadzić malca na to, że nie cały człowiek zostaje w grobie, co późniéj (p. 283) dopiero czyni. Z drugiéj strony trafnych tu się można doczytać niejednych sposobów pytań i objaśnień, chociaż i tutaj nie mógł się autor od pewnéj osobliwéj sentimentalności powstrzymać. Na str. 203 powiada autor: „K. Moje dzieci, ja tak czynię co wieczór po modlitwach rachunek sumienia, uważać dobrze, żebyście sposób ten zapamiętali (!) i przez całe życie tak ten rachunek sumienia czynili. — Padam na kolana przed Bogiem i mówię: „Mój Boże itd.“ Zdaje nam się że bez tego wstępu o sobie się obyło. — Na sposób w jaki szan. autor chce dzieciom dać pojęcie o tém że mają duszę (p. 311—313) możnaby się pisać, gdyby nie był zbyt trudny. Wszystkie te pytania obracające się koło *ja*, wydają nam się za wiele zabierające czasu. N.. p. (p. 312) zapytując autor ucznia: „masz ty *ja*? ponieważ twoje ja i to ciało razem są, więc są jedną rzeczą? Czyby ciało samo przez się zdołało co uczynić? czy ono by mogło chodzić pracować? któż to sprawia? moje *ja*. Któż widzi przez oczy? *ja*.“ W dalszym ciągu pytań przychodzi w prawdzie autor do tego, że może dzieciom powiedzieć „odtąd to *ja* duszą nazywać będziemy“ — ale potrzebował do tego czasu, piersi i głosu bardzo wiele. Ostatnie przykłady podane z listu pasterskiego Biskupa z Burg są wyborne. *Ks. lic. Chotkowski.*

Odprawa kilku uwag w liście z Ustronia do Dziennika zawartych.

Korespondent *Diennika* piszący z Ustronia utrzymuje w liście z 26 marca, naprzód, że *Dziennik* w artykułach wstępnych i kilku korespondencyach dostarczył w sporze o wybory wiele materyału do dyskussyi; powtóre, że *Tygodonik* nie dyskutuje,

tylko jak zawsze na łapance, wyrywkach i to ztąd to z owąd bez związku i ładu ogranicza się i odpowiada frazesami.

Czy podobna jawniéj i oczywiściéj bałamucić? My zawsze odpowiadamy i dyskutujemy i właśnie nasze wywody przeciwnicy nasi lub zbywają milczeniem, lub puszczają się wobec nich na łapankę i wyrywki, a dodamy, i wykrzywienia. Tak zawsze bywało w ostatnich latach. Zkąd inąd, jeśli z artykułów *Dziennika* usuniemy na bok łajania, groźby, domysły, przymówki i wszystkie rzeczy zakazane w uczciwéj polemice, to istotnego materyału bardzo mało zostanie.

Zresztą możemy zaręczyć korespondentowi z Ustronia, że nie pozostawimy bez odpowiedzi niczego, na co nam się odpowiadać godzi. I tak biorąc na przykład jego listy, choć już wyjaśniliśmy to, co się sprawy wyborczéj tyczyło, wrócimy jesscze do rozmaitych pobocznych, poruszonych przezeń kwestyi. Odpowiemy także temu panu, co datując korespondencyą z Belgii tak niemiłosiernie katolików belgijskich obmawia i chłoszcze. W ogóle jeśli zasługujemy na jaki zarzut, to nie na ten, abyśmy dyskussyi unikali lub zbywali byle jak argumenta innych obozów.

W artykule: *Jak Dziennik zgodę rozumie* pisaliśmy:

Twierdzi *Dziennik* w liście z *Ustronia*, że zniżamy ton, zmieniamy taktykę i inaczéj przemawiać zaczynamy.

I jak oczywista odparliśmy ten zarzut. Cóż na to korespondent z Ustronia? Oto on, który się tak gniewa na łapankę i wyrywki, nie przytacza tego, co daléj następuje jeno woła:

Utrzymywałem, że Tygodnik złagodniał i stał się umiarkowanym. Tego umiarkowania jakby popełnionego grzechu wypiera się *Tygodnk*... Bravissimo szanowny księże Redaktorze. Uczciwości i naiwności po tém świadectwie nieumiarkowania, które sam swemu pismu wystawiasz, nie odmówię ci doprawdy.

My z naszéj strony musimy odmówić autorowi nowego listu z Ustronia przymiotów do prowadzenia szlachetnéj dyskussyi, bo naprzód myśmy nic przeciw umiarkowaniom, jeno przeciw uwłaczającym nam wyrazom: taktyka i zniżenie tonu protestowali, a powtóre, kiedyśmy twierdzili, że korespondent nie czytuje naszego pisma (nie chodziło nam o numer 10 ale w ogóle o *Tygodnik*), to właśnie pragnęliśmy wykazać, żeśmy zawsze umiarkowanie zachowywali. Jakoż po wyrazach przywiedzionych przez kerespondenta, idzie zaraz zdanie następujące:

Od samego początku właśnie redakcya *Tygodnika* przemawiała w tym samym umiarkowanym i pojednawczym tonie.... Ciągleśmy się powstrzymywali i powstrzymywali innych. Obecnie nawet ani dokuczliwie powtarzane oskarżenia, ani potwarcze wnioski, nie wyprowadzą nas na pole gwałtu i odwetów.

Darmo, nie podobna nam inaczéj mniemać, jak że korespondent nie czytuje (sic) „pisma naszego“ i że chyba mu kto w liście wyrwany frazes przesłał, bo inaczéj, jakżeby mógł tak śmiało twierdzić: „że *Tygodnik* wypiera się umiarkowania, jakby popełnionego grzechu?“ Tylko podobne przypuszczenie może do pewnego stopnia zasłonić korespondenta od zarzutu złéj wiary, który on nam ni ztąd ni z owąd, nie zrozumiawszy znaczenia słów naszych, tak skwapliwie uczynił. Ale prawda: korespondent zaręcza, że czytuje Tygodnik. Słuchajcie i podziwiajcie sól attycką, dobry smak i przyzwoitość.

A jakżebym nie miał czytywać *Tygodnika*. Ile razy chcę się rozerwać a nie znajdę pod ręką *Djabła* lub *Kladradacza*, zawsze zaglądam do lubego pisma.

Prawdziwie nie umiemy sobie wytłomaczyć, jakiém czołem ci panowie piszący w sposób, którego my nigdyśmy względem nich nie używali i używać nie myślimy, oskarżają nas potém o gwałtowność lub niezręczność. W każdym razie możemy się łatwo pocieszyć w obec dowcipów korespondenta „papryką zaprawnych;“ nieco niżéj traktuje on czcigodnego pana Hazę z Radlic, jak starego gawędziarza, który usiłuje wskrzesić *liberum veto*. Otóż nie szkodzi obcować w tak dobrém towarzystwie.

Najważniejszy atoli w liście jest ustęp, w którym korespondent ciska nam w oczy okólnik Najprzew. Księdza Prymasa. Oto brzmienie rzeczonego ustępu:

„Mógłbym powiedzieć jak to *Tygodnik* mnie zrobił: — zapewne ksiądz Redaktor nie czytuje okólników księdza Arcybiskupa, ale wolę z góry przypuścić, że okólnik nie był jeszcze znany piszącemu. Ależ teraz znany jest okólnik i jakże po potępieniu przez księdza Arcybiskupa agitacyi

— agitacyi, którą wszakże sami ultramontanie a na czele sam *Tygodnik* wywołali — czy jeszcze zwycięztwo wasze? Winszuję zmysłu politycznego i bystrości, ale to popobno retur — kucze nazywają. Lecz zapomniałem. A przecież hr. Kwilecki przepadł w wyborach. Wykrzykujcie śmiało vivat, macie prawo do tego.“

Okólnik Najprzew. Księdza Prymasa już był nam znany 18 marca i mimo tego napisaliśmy, a dziś powarzamy, że *Dziennik* nie ma powodu dąć w zwycięzką waltornią.

Co się tyczy agitacyi zakazanéj, myśmy nigdy do niéj nie popychali. Napominaliśmy od samego początku, aby się wszyscy trzymali w granicach zakreślonych przez Najprzew. Księdza Prymasa i utrzymywaliśmy to, co i teraz utrzymujemy, że w tych granicach podobne jest wszystko to, czego po nas wymagają, sumienie i konsekwencya.

Pisaliśmy między innemi dnia 11 marca:

„Jeżeli z obowiązku oświadczamy, że utrzymamy stanowisko nasze, zaręczamy zarazem, że nas żadne gwałty do gwałtów i do przesady niepopchną. Nie pozwolimy sobie także nigdy agitować na sposób świecki i będziemy się starali ściśle utrzymać w granicach zakreślonych nam przez Najprzew. księdza Prymasa. W tych granicach nie zabraknie nam pola do obrony prawdy.“

Okólnik faktycznie patrzenia naszego nie zmienił. Niech go odczyta uważnie korespondent *z Ustronia*. Najprzew. Ksiądz Prymas chwali tam i wynosi Oświadczenie Duchowieństwa i przyznaje duchownym jako wyborcom prawo stawiania zapytań kandydatom. Trzeba z tego wyciągnąć naturalne wnioski. Czy ksiądz Prymas chce od duchownych, żeby postawiwszy zapytanie, potém nie baczyli na odpowiedź i w każdym razie głosowali na kandydata komitetu? Oczywiście, że nie. Zapytanie musi mieć cel jakiś. Więc skoro odpowiedź nie będzie zaspakajającą, przedstawia się taka alternatywa: albo duchowni i ci, co ich rady zasięgają, wstrzymają się od głosowania, albo będą głosować na innych kandydatów. Ksiądz Prymas nie pochwala, aby duchowni sami kandydatów nowych stawiali, i w tém przyznajemy, żeśmy go nie rozumieli; ale nie przeszkadza, żeby kto inny postawił kandydatów i żeby duchowni i co z nimi trzymają, oddali na nich głosy swoje.

Więc znowu twierdzimy to, cośmy już tyle razy pisali, że kwestya pozotaje nie rozstrzygnięta, i że jeżli rostropniejsi nie obmyślą środka dla zaspokojenia słusznych żądań duchowieństwa, i inną razą do zejścia przyjdzie.

Politycy *Dziennikowi* tak postępują jak gdyby chcieli duchowieństwo do usunięcia się od urn wyborczych popchnąć. Samże korespondent *z Ustronia* pisał: „Nie pozostaje nic innego dla was duchownych jak albo podjąć się z nami obowiązku obywatelskiego przy wyborach albo zupełnie zrzec się prawa głosowania.“ Niechaj się zastanowią ludzie poważni do czego to prowadzi. My głos ostrzeżenia wcześnieśmy podnieśli i ostrzegać nie przestaniemy, bo nam chodzi istotnie o zgodę i pokój. Zaś kiedy pełnimy to co rozumiemy być naszą powinnością, żadne nas obelgi, przymówki i koncepta o *Djable* i o *Kladradaczu* z toru nie zbiją.

Nr. 13. Tygodnia.

Pan Kraszewski powróciwszy z Krakowa, nie ukojony „gościnném (według niego) przyjęciem zacnych mieszkańców staréj Stolicy,“ ale owszem rozdrażniony „widokiem (zawsze to jego własne słowa) tych, coby mieli ochotę pomścić się na biednym człowieku za ideę,“ — niepomiernie znowu sroży się na nasz *Tygodnik*, o którym przecież już nie miał wspominać, i większą połowę numeru 13. pod rubryką kroniki i listów z Poznania, z Sieciechówka, z Pustkowia, z dekanatu świętego Michała, nam poświęca. Oto wyjątek z Kroniki:

„Co było polskiego i zacnego w narodzie nie wahało się odstąpić obozu kosmopolitycznego, któremu rozkazy szły z Belgii i nad Renu a dla tych wszystko polskie gotów on był poświęcić, nawet podpisy fałszować, spiski knować, kraj rozdzielić a burzyć. Nie sadzilibyśmy, aby redakcya *Dziennika* dziś po tylu dowodach złéj wiary *Tyyodnika katolickiego* obowiązana była nieustannie kruszyć kopije z rycerzem czci pozbawionym. Pismo tego rodzaju należy ignorować, zapomnieć że istnieje i dać mu dokończyć niefortunnego żywota w pośród głuchego milczenia. Wpływ jego dziś niestraszny, a każda walka z nim podnosi tylko do niesłusznéj wysokości i trzyma go przy życiu. Z każdym ona możliwa i potrzebna, tylko nie z tymi, co podpisy fałszują i potwarze sieją. Opryszek pójdzie w las i tam sobie z głodu skona.“

Pan K. poszedł „do Sasa“ czemuż-byśmy więc nie mieli pójść „do lasa“? Konsekwencya to logiczna, niezawodna. Ale dla czegoby miał tam *Tygodnik* z głodu skonać? tego równie jasno nie widzimy. Przecież dostatecznéj mu strawy i *Dziennik* i *Tydzień* dostarczają. Pan K. przez parę lat dowodził że już, już *Czas* kona. Mimo tego dziennik ten coraz świetniéj i potężniéj stoi. Tymczasem *Tydzień* musi prosić o sto więcéj prenumeratorów, aby mógł istnieć. Pono taki sam zawód czeka przepowiednie pana K. względem *Tygodnika*. Być może że przeżyjemy *Tydzień*. A jednak pragniemy żeby istniał, bo gdy *Dziennik* tak starannie ukrywa o co w gruncie chodzi stronnictwu anti-religijnemu, *Tydzień* raz po raz zdradza tajemnicę.

Pan K. kończy tę Kronikę pośmiertnem wspomnieniem swéj córki. Tyle nienawiści, a obok tego tyle łez i uczucia! Ktoby siebie szanował, to przynajmniéj na ten jeden numer byłby zawiesił swe gniewy i mściwość. Myśmy dawno już spostrzegli, że przebywając długo z Moskalami mimowolnie przejął się on naturą moskiewską. Moskal tą samą ręką, którą ociera łzę płynącą nad losami ludzkości, gotów natychmiast po ukazie podpisać wyrok śmierci i na najszlachetniejszego człowieka. Przejścia i walki tam niema.

Listy z Poznania i z Sieciechówka obracają się koło zarzutów sto razy już przez nas zbitych. Jakiejże to słabości stronnictwa anti-religijnego dowodzi ten upór przy twierdzeniu, że oświadczenie duchowieństwa, zawierające tylko zastrzeżenie względem zagrożonych praw kościoła, było zamachem na narodowość. W to nikt z bezstronnych nie uwierzy, a i wy sami nie wierzycie. Narodowość służy wam tylko za pokrywkę. A jakąż to my mamy w polemizowaniu wyższość nad wami. My wszystkie wasze zarzuty przytaczamy, bo się ich nie lękamy, dajemy z pism waszych jak najobszerniejsze wyjątki, żadnego nawet z przycinków waszych, obelg i oszczerstw nie pomijając, a wy jakże troskliwie kryjecie wszystko, co my w obronie siebie przywodzimy, a to z obawy, aby czasem jakie słowo nasze nie przedarło się do waszych zwolenników, pragniecie abyśmy „z głodu powoli skonali.“ Oto przyjaciele wolności.

Listy z Pustkowia, okazujące się w zastępstwie zużytych już listów Pustelnika, nie tylko przeciw nam ale przeciw calemu duchowieństwu, co się na oświadczeniu podpisało, występują. Przytoczymy krótki następujący wyjątek:

„Litować się wypada nad duchowieństwem, że tak się da wodzić na pasku jak niemowlę, począwszy od czasów seminaryjnych; ale właśnie owo wychowanie w zakładzie, który Francuzi zowią słusznie *manufacture des curés*, owo wychowanie, którego pierwszą zasadą jest przytępienie wszelkiéj indywidualności, którego celem nauczyć działania wedle narysowanéj z góry szablony, — to wychowanie w oświadczeniu duchowieństwa“ świetny wydało owoc. Duchowieństwo podpisując ułudne punkta kościańskie, nie poznawszy się może z razu na ukrytych celach, a poznawszy je późniéj nieodwołując pomimo to podpisów swych, spełniło wymagane przez dzierżycieli okolistego kapelusza „*sagrificio dell' intelletto.*“

A co? czy to niewyraźne? Więc co prędzéj znieśmy seminarya.

— Pochowanie zwłok ks. Biskupa Sufragana Franciszka Stefanowicza odbyło się z wielką uroczystością. W niedzielę 26. nad wieczorem, w śliczną wiosenną pogodę przeniesiono trumnę z mieszkania zmarłego do Archikatedry. Eksportował Najprzewiel. ks. Prymas, a klerycy, liczne duchowieństwo i członkowie dwóch kapituł (z Gniezna przyjechali ks. Wojciechowski i Jarosz) w procesyi go poprzedzało. Wierni zebrali się tłumnie i na ulicy i w kościele, który starannie oświecono. Nazajutrz dzień o 9. jeszcze liczniejszy kler odśpiewał wigilie w obecności Najprzew. ks. Prymasa. Mszę żałobną miał ks. kanonik Busław. Mowę serdecznie i po kapłańsku wypowiedział ks. proboszcz Pędziński. Następnie Najprzew. ks. Prymas odprawił kondukt i ciało do kaplicy św. Krzyża śród powszechnego wzruszenia na wieczny spoczynek odprowadził. Wierni i na pogrzeb bardzo licznie przybyli.

Wiadomości potoczne.

— Jak się dowiadujemy, ks. Tomasz Kłoniecki, dotychczasowy penitencyarz archikatedralny, otrzymał probostwo w Owińskach. Penitencyarzem w jego miejsce zostaje ksiądz Władysław Jaskulski, dotychczasowy wikaryusz archikatedralny. Ks. Ewaryst Gaje-

wski obejmrje probostwo w Orłowie pod Inowrocławiem. Z nowo wyświęconych kapłanów ks. Tasch został przeznaczony do Wałcza, ks. Glabisz do Zakładu ks. Koźmiana, a księża Kantecki i Lewicki idą na uniwersytet do Monastyru.

— Od 25. marca odbywały się w kaplicy św. Jana Kantego rekollekcye dla pań Towarzystwa św. Wincentego à Paulo. Przewodniczył im O. Wójcikowski ze Śremu. Udział był bardzo liczny. Skończyły się te ćwiczenia w środę 29. marca.

— *Dziennik* w liście z Ustronia zaręczył: „Nikt ze świeckich nie miesza się w kościelne sprawy.“

Jużeśmy mu raz wytknęli, że się zwykle dzieje inaczéj. A oto i teraz umieścił w numerze 73. list ze Wschowskiego, w którym piszący bez powodu, bez znajomości faktów, bez przejrzenia akt zaczepia władzę duchowną o zmiany, jakie zajść mają w zarządzie domu demerytów w Osiecznie. Korespondent rozpisuje się w téj mierze obszernie, tworzy dziwaczne domysły, gani, narzeka, jak gdyby miał prawo w rzecz wkraczać. Jeżeli to nie jest sprawa czysto kościelna, to już niewiemy, co *Dziennik* do spraw czysto kościelnych zaliczy.

— W numerze 74 *Dz. Pozn.* znajduje się w odcinku Nekrolog św. ks. Biskupa Stefanowicza. Nekrolog ten, mówiąc nawiasem, słabo napisany, rozpoczyna się od potwarczéj wycieczki przeciw ultramontanom, iż usiłują potargać sojusz Kościoła z narodem, jak gdyby to nie było jawném, że liberały nasze Kościoła się wypierają, skoro o jego zasady i przepisy chodzi, — daléj, dla kontrastu wychwala śp. Arcybiskupa Przyłuskiego, jak gdyby już nikt u nas nie pamiętał o szalonych napaściach radykalizmu naszego, a głównie *Dziennika*, na tego Dostojnika kościelnego, i kończy się pogańską formułą pożegnania: *„Niechaj ziemia będzie lekką zacnemu kapłanowi-Polakowi!“ Dziennik* wyzyskuje każdą okoliczność, by pofolgować gniewowi i zaciętości swojéj. Nawet w obec zwłok spuszczonych co dopiero do grobu Biskupa, dyszy nienawiścią. Wyzyskując życie i śmierć św. Biskupa Stefanowicza w tendencyi stronniczéj i dla zaczepek niegodnych, hołdu należnego zmarłemu nie oddaje, jemu zniewagę wyrządza. Kiedy zaś żegna go trybem pogańskim (*Dziennik* zawsze tak czyni) w miejscu chrześciańskiéj modlitwy, którą Kościół o odpoczynek wiekuisty i światłość błaga Boga dla zmarłych — my w imieniu *katolickiego* Biskupa odpychamy wszelkie jego pochwały i życzenia.

— Ks. proboszcz Klass z Fafałdu w numerze 74 *Dziennika* tłomaczy się z zarzutu, jakiśmy mu mieli uczynić w nr. 10 pisma naszego w przypisku do korespondencyi z Międzychodzkiego. Otóż my oświadczenia jego zgoła nie rozumiemy, bo w miejscu, na które się powołuje, ani wzmianki o nim nie ma, ani myśmy go na myśli nie mieli.

— Do 5. marca było podpisanych w Austryi na adresie do Ojca św. 383,184 osób (z tych 3142 z Galicyi), a na petycyi do ministerstwa za Ojcem św. 250,587 (z tych 6278 z Galicyi.)

— Odebraliśmy kilkadziesiąt exemplarzy nowo wydanéj w Warszawie: Postille mniejszéj księdza Jakóba Wuyka 2 tomy 8vo ma. Wydanie to, wierny przedruk pierwszego wydania w Poznaniu 1579 roku, jest nader staranne; papier trwały. Cena 3 tal.

— Mamy również kilkadziesiąt exemplarzy wybornego dzieła: Rozmyślania dla kapłanów, ks. Chaignon, tłomaczenie w Warszawie, tomów 5 czyli 12 zeszytów. Cena zniżona exemplarza $5^1/_2$ tal.

— Dla wielu z czytelników naszych będzie zapewne pożądana wiadomość, że Żywoty św. Pańskich X. Skargi, ostatnie piękne wydanie Grodziskie, jest u nas do nabycia za cenę znacznie zniżoną. I tak, oba tomy kosztują 2 tal. 20 sgr. 4 flor., 60 cent. wraz z przesełką.

— Mamy kilka exemp. **Teologii pasterskiéj X. Krukowskiego.** Cena dwóch tomów 3 tal. 10 sgr.

— Od X. Wąchalskiego z Białężyna odbieramy następujące pismo, które przesłał był do *Dziennika pozn*,

W *Dzienniku pozn.* Nr. 63. ogłosił p. Mielęcki z Nieszawy:

1. że z 1736 głosów przypadłych w naszych powiatach na ks. dziekana Sibilskiego, 600 głosów spowodowali ks. dziekan Daleki i ja w parafii Parkowskiéj i Białężyńskiéj;
2. żem odbierał w dzień wyborów kartki na p. hr. Kwileckiego, ogłaszając takowe za nieważne;
3. że dopiero po wyborach przekonał się lud o szkodzie narodowéj; skutkiem czego postępowanie takie pozbawia duchownego szacunku powagi w parafii.

Twierdzenia te są nieprawdziwe. Po ścisłem zbadaniu sprawy przekonałem się:

a. że wszystkich głosów w parafii Białężyńskiéj przypadłych na ks. dziekana Sibilskiego było 39. W parafii Parkowskiéj we wszystkich okręgach w *Boguniewie, Wełnie* w *Rożnowie* 109. Co czyni summę 148 głosów, a nie 600, jak utrzymuje p. Mielęcki. Ale byłoby ich więcéj, gdybyśmy chcieli agitować tak jak inni.

b. Nieprawdą jest, żem odbierał kartki na p. hr. Kwileckiego i ogłaszał takowe za nieważne, lecz tym, którzy przyszli do mnie o radę co do głosowania, powiedziałem, że mają wolność głosowania, ale najlepiéj głosować na księdza, ponieważ p. hr. Kwilecki nie przyjął warunków katolickich przez duchowieństwo postawionych.

c. Po rezultacie nie żałował lud swego pierwszego głosowania, ani jako duchowny nie zostałem pozbawiony powagi i szacunku, gdyż przed ściślejszym wyborem przyszli ludzie do mnie pytać się o radę. —

Widoczna że p. Mielęcki nie zna naszego katolickiego poczciwego ludu, bo jeśli tenże głosuje na kandydatów szlachtę, czyni to li tylko w tém przekonaniu, że księża głosują na niego. Zatem musi być postawiony kandydat téj saméj wiary katolickiéj co on, t.j. dobry Katolik i Polak.

Wierzy nasz lud w Zmartwychwstanie Polski *katolickiéj*, ale nie *pogańskiéj*, i oto się modli przy każdym paciorku rano i wieczór i w kościele.

Mogę zaręczyć p. Mielęckiemu, że nikogo nie bałamuciłem, lecz pytającym się o radę, na kogo w tém zamięszaniu mają głosować, odpowiedziałem: na ks. Sibilskiego. Tylko na nieszczęście, żem w wigilią wyborów nie był w domu, a czekającym aż do 8 godziny wieczór na mnie, takę samą dałbym był radę, i poszliby za nią. I to mogę zaręczyć, że p. hr. Kwilecki protegowany przez p. Mielęckiego w całéj parafii Białężyńskiéj ledwieby 40 głosów był otrzymał.

O łaskę świeckich nieubiegałem się nigdy i nie myślę tego na starość czynić; pomnę na owo stare przysłowie polskie: Pańska łaska na pstrym koniu jeździ! Świeccy dopóty księdza potrzebują — to mu schlebiają — lecz po interesie o niego mało dbają, częstokroć na szary koniec sadzają.

W końcu oświadczam: żem jest i nieprzestanę być ultramontanem polakiem i tego lud nauczać będę. Kto jest dobrym katolikiem jest zarazem dobrym polakiem; a jako taki ja wraz z ludem na dobrego katolika zawsze głosować będę, w tém przekonaniu, że jest dobrym polakiem kochającym swoją wiarę katolicką i narodowość.

Przy powtórném głosowaniu ja wraz z pytającymi mnie o radę byłbym się wstrzymał od głosowania, lecz pewna wiarogodna osoba zaręczyła mi: że p. hr. Kwilecki przyjął oświadczenie duchowieństwa.

Na opinie *Dzien. Pozn:* niedbam. Tylko ubolewam, że za nasze pieniądze braci na braci podszczuwa i rozdwojenie rozsieje. Jestem katolikiem i polakiem, wiernym kapłanem kościoła i posłusznym swemu Arcypasterzowi, zawsze tego bronić będę, a gdyby tego potrzeba wymagała, życie swoje położę. —

X. Wąchalski.

Korespondencye Redakcyi.

Ks. B. w Racł. Bardzo dziękujemy. Zamieścimy. — Numer przyślemy gr. O X. S. będzie wspomnienie.

Zeszyt IV. Bibloteki kaz. już wyszedł.

Nakładzca i Redaktor X. J Stagraczyński w Poznaniu. — Czcionkami drukarni Tygodnika katolickiego (A. Schmaedicke) w Poznaniu.
W komisie L. Streisandta w Grodzisku.